Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. *Niedziela, dnia 18 lipca 1937 r.* Nr. 29

ZADUMA LIPCOWA

Zadumo moja wieczorna...
zadumo moja lipcowa..
ile ty w sobie czaru
lipcowych zachwytów chowasz...

Tyle jest w tobie ciszy,
której wysłowić nie umiem,
a którą poprostu nazwałem
kołysanką lipcowej zadumy —

Szeleścisz dzwonkami w lipach
i barwnie słońcem dojrzewasz,
i o zadumie własnej,
zadumą serca śpiewasz....

Błądzę z tobą po polach
i zrywam dzikie róże..
zanim je w chłodną ciszę
leśnego strumienia zanurzę.

Zanim z gasnącym słońcem
dzień gdzieś za lasem się schowa —
o, moja zadumo wieczorna...
o, moja zadumo lipcowa...

Józef Baranowski.



WOJCIECH HOLM

39)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— A więc z tego powodu chyba — zawołała Inez zadowolona i zrobiła w duchu uwagę, że matka zinteligentniała u jej boku. — Chodzi on codziennie na pocztę i wyczekuje z niecierpliwością listu. Widocznie chodzi mu o list z pozwoleniem ojca.

Wstała i zaczęła w dziwnym zamyśleniu chodzić po pokoju.

Zbliżywszy się do okna, zobaczyła pokazałą postać Tulliwera, zdążającego w stronę poczty.

— Pójdę także na pocztę — zawołała żywo — i zobaczę czy nie przyszedł dla mnie list od Marty Cobler.

Mama Snob zdziwiła się mocno, usłyszawszy to, gdyż Inez otrzymała niedawno list od Marty Cobler, swej najserdeczniejszej przyjaciółki, nie miała jednak odwagi wypowiedzieć tego głośno i rzekła tylko potakująco:

— Idź, moje dziecko.

Miss Inez nie słyszała już nawet tego, bo biegła szybko do swego pokoju, aby włożyć bluzkę i kapelusz. Na schodach już wciągnęła długie, duńskie rękawiczki. Potem pośpieszyła w stronę poczty, rozglądając się wciąż, czy między przechodniami nie zobaczy pana Tuliwera.

U wejścia na pocztę spotkała go wreszcie, zatopionego w czytaniu listu.

— Panie Tulliwer — zawołała Inez zdziwiona. — Pan tu?

Tulliwer złożył szybko list i schował go do kieszeni.

— Co za niespodzianka, że panią tu spotykam — zawołał.

— Czy otrzymał pan oczekiwany list od swego ojca? — zapytała Inez.

— Tak jest — zapewniał ją Tulliwer.

— Przypuszczam, że dobre wiadomości? — badała miss ciekawie.

— Bardzo dobre — potakiwał Tulliwer.

Gdyby Inez mogła była zaglądnąć do listu, który Tulliwer przed chwilą otrzymał, byłaby się mocno zdziwiła, szczególnie ortografii i stylowi lorda Sommersetshire, a bardziej jeszcze zdziwiłaby ją treść tego listu, który brzmiał tak:

Kochany Jim!

„Cieszem się, że Ci się dobrze powodzi i życzem, aby jeszcze lepiej było. Złapcie już raz te stare szczupaki. Stary taki zatroskany, jak pudel pełen pcheł.

Nie zapomnij o swojim wirnym przyjacielu.

I. L.

Inez, nie przeczuwawszy nawet stylistyki i ortografii, otrzymanego przez Tulliwera listu, zapytała jeszcze przy okienku dla formy, czy nic dla niej nie ma i wesoła i dumna opuściła budynek pocztowy u boku swego wielbiciela.

Na ulicy podał jej Tulliwer ramię, które Inez przyjęła nader uszczęśliwiona w przeczuciu tego co nastąpi.

— Kochana miss — zaczął syn lorda Sommersetshire — czy mógłbym panią prosić o tę wielką łaskę, żeby pani przeszła się trochę ze mną na pogawędkę?

Inez nic nie odpowiedziała, lecz tylko spuściła wstydliwie jane swe rzęsy.

Tulliwer zaś wziął milczenie to za przyzwalającą odpowiedź i poprowadził Inez w jakąś boczną uliczkę.

— Najdroższa Inez! — zaczął Tulliwer namiętnie. — Wreszcie nadeszła godzina, w której mogę pani otworzyć swe serce i wyjawić, jak bardzo panią kocham. Inez, ubóstwiana Inez! czy nie zechciałabyś zostać moją żoną, koroną mego życia?

Opanowało ją dziwne uczucie, gdy usłyszała nareszcie słowa, na które tak długo daremnie czekała. Zrobiło jej się tak błogo na sercu, iż byłaby się Jamesowi najchętniej rzuciła na szyję, gdyby to nie było na ulicy.

— Oh, James! — szepnęła czule i wstydliwie zarazem — czy możesz jeszcze pytać? Czyż nie wyczytałeś w oczach moich, co dla ciebie czuję i czem ty dla mnie jesteś?

— Dzięki ci za te słowa, najdroższa! — przerwał jej Tulliwer, któremu widocznie zależało na skróceniu tej ckliwej sceny — robisz ze mnie najszczęśliwszego człowieka pod słońcem.

Wracajmy czym prędzej, abym się mógł oświadczyć twoim rodzicom o twoją rękę. Sądzę, że nie odmówią swej córki synowi lorda Sommersetshire.

— Nie obawiaj się! — uspakajała go uszczęśliwiona Inez. — Gdybyś nawet był największym biedakiem i najniższego pochodzenia, to serce moje należałoby do ciebie i obstawałabym przy tym, aby rodzice moi pozwolili na nasz związek.

Dziwny uśmiech okazał się przy tych słowach narzeczonej na ustach pana Tulliwera. Może uśmiech ten wrażał zadowolenie z gorącej miłości, którą on wzniecił w jej sercu.

Na schodach hotelu Quirinal, spotkali mr. Waker'a, który patrzył zdziwiony na ich poufałość.

— Najdroższa Inez! — zawołał Tulliwer patetycznie, czy pozwalasz, abym wciągnął w naszą słodką tajemnicę najstarszego i najlepszego swego przyjaciela?

Inez skinęła mu przyzwalająco, robiąc przytem zawstydzoną minkę.

— Słuchaj tedy Waker! — zawołał Tulliwer — i ciesz się moim szczęściem bo Inez jest moją, na zawsze moją!

Zaaferowana Inez nie spostrzegła dziwnego wzroku „którym się obaj przyjaciele porozumiewali.

— Szczęśliwcze! — zawołał Waker z uczuciem — winszuję ci z całego serca. To samo pani, panno Inez! Szczęście twoje, przyjacielu i mnie ośmiela i dodaje mi otuchy. Może...

Triumfująca twarz podstarzałej narzeczonej spospępniała przy tych słowach. Było jej przykro, że Fides doznać tego szczęścia co ona.

Byłaby chętnie triumfowała nad młodszą swą siostrzyczką; a teraz ten głupi Waker uniemożliwił jej to zadośćuczynienie. Pocieszała się tylko tym, że pierwej była narzeczoną i że robiła lepszą partię od niej.

Przy drzwiach salonu stanęła Inez



W Anglii zreformowano nieco modny strój eleganckiego sportowca, mianowicie: wytworny, klasyczny strój biały uzupełniono szeroką czarną lamówką i bizami wyraźnie widocznymi na powyższym zdjęciu.

i szepnęła nader czule:

— Tylko trochę cierpliwości, kochany James! Chciałabym rodziców wpierw przygotować na tę wiadomość, aby nie spadła zanadto niespodziewanie! Pomyśl, jak przykro dla nich będzie, zrezygnować ze swego dziecka!

Tulliwer bardzo to dobrze pojmował i oświadczył, że zgadza się, mimo, że chwile tę będą dla niego wiekami.

Wiedziona przykrym jakimś przeczuciem, wbiegła Inez do salonu, gdzie zastała matkę chrapiącą jeszcze w toalecie, którąśmy już pierwej opisywali.

Ojciec zaś drzemał błogo na dużym fotelu w czerwonej szlafmycy. Urocza narzeczona budziła rodziców gwałtownie.

— Wstawajcie, wstawajcie! — wrzeszczała im do ucha. Mr. Tulliwer chce się wam dziś jeszcze oświadczyć o moją rękę.

Pani Snob, której się właśnie śniło, że stoi za ladą swego sklepu w Whitechapel i rozmawia ze znajomymi kumoszkami, z przykrością tylko mogła się z tym miłym snem rozstać i patrzyła błędnym wzrokiem wokoło siebie.

Papa Snob znalazł się za to w kropce. Zdjąwszy czerwoną swą szlafmycę, schował ją do kieszeni i kiwnął głową na znak, że jest gotów przyjąć wszystkich pretendentów do ręki swej córki.

Miss Inez wpakowała w pośpiechu zaspaną swą mamę do sypialni i nakazała jej, aby nie wyszła wpierw, dopóki się porządnie nie ubierze.

Potem wybiegła, aby zawołać Tulliwera, myśląc że on ginie z niecierpliwości i tęsknoty.

Jakże się zdziwiła, gdy zastała Jamesa w żywej, półgłosem prowadzonej rozmowie z przyjacielem swym Waker'em. Czytali wspólnie list, który Inez miała za odpowiedź swego teścia „inspe", a co ją przytem zabolało, to to, że narzeczony jej darzy większym zaufaniem swego przyjaciela niż ją, swoją wybraną i ukochaną narzeczoną!

Zobaczywszy ją, Tulliwer podał jej szarmancko ramię i wprowadził do sa-

lonu. Waker wszedł za nimi. Obaj gentlemeni powitali papę Snob solennie.

— Panie — przemówił Tulliwer — jestem mężczyzną nielubiącym wiele słów, lecz, jak to mówią, człowiekiem czynu. Dlatego też zdążam prosto do celu i zeznaję bez ogródek:

Kocham pańską córkę Inez, mój przyjaciel zaś, mr. Waker, upodobał sobie pannę Fides i prosimy obaj, aby nam pan dał swoje córki za żony.

Miss Inez byłaby wprawdzie wolała, aby te oświadczyny były wypadły bardziej patetycznie, ale ostatecznie zadowoliła się i tym.

Papa zaś otwierał po kilka razy usta, przygotowując się do odpowiedzi, wreszcie rzekł sucho i po kupiecku:

— Każda z nich dostaje 50,000 funtów szterlingów w posagu, a po naszej śmierci dostaną jeszcze po 20.000.

Niczego innego nie pragnęli obaj zięciowie „in spe" i z zachwytem słuchali słów przyszłego teścia.

Tulliwer odpowiedział wzruszony:

— Dzięki ci szlachetny człowieku! Mogę więc odtąd nazywać tę uroczą istotę swoją narzeczoną, a pana ojcem?

Ta „urocza istota", która w tej ważnej dla niej chwili wyglądała jeszcze starzej i brzydziej niż zwykle, rzuciła się Tulliwerowi w objęcia i szeptała:

— Twoja, na wieki wieków, twoja!

James Tulliwer złożył czuły pocałunek na przekwitłych policzkach swej ubóstwianej, przy czym urządził się króciej niż to, zdaniem Inez, być powinno.

Uroczystą tę chwilę przerwało wejście mamy w nienagannej toalecie.

— Szanowna pani, prosimy o błogosławieństwo — rzekł Tulliwer, przystępując do niej ze swą narzeczoną.

— Tak mamo, proszę pobłogosławić swoje dzieci — szepnęła Inez zawstydzona.

Pani Snob spełniła to życzenie wśród potoku niezrozumiałych słów i strumieni łez.

Scenę tę przerwało wejście panny Fides, która zdziwionym a zazdrosnym wzrokiem obrzuciła stojącą wśród sali grupę.

Twarz jej rozjaśniła się jednak i zajaśniała błogo, gdy zobaczyła zbliżającego się do niej Wakera, który objąwszy ją czule rzekł:

— Za pozwoleniem twych rodziców, witam cię jako swą narzeczoną, najdroższa moja!

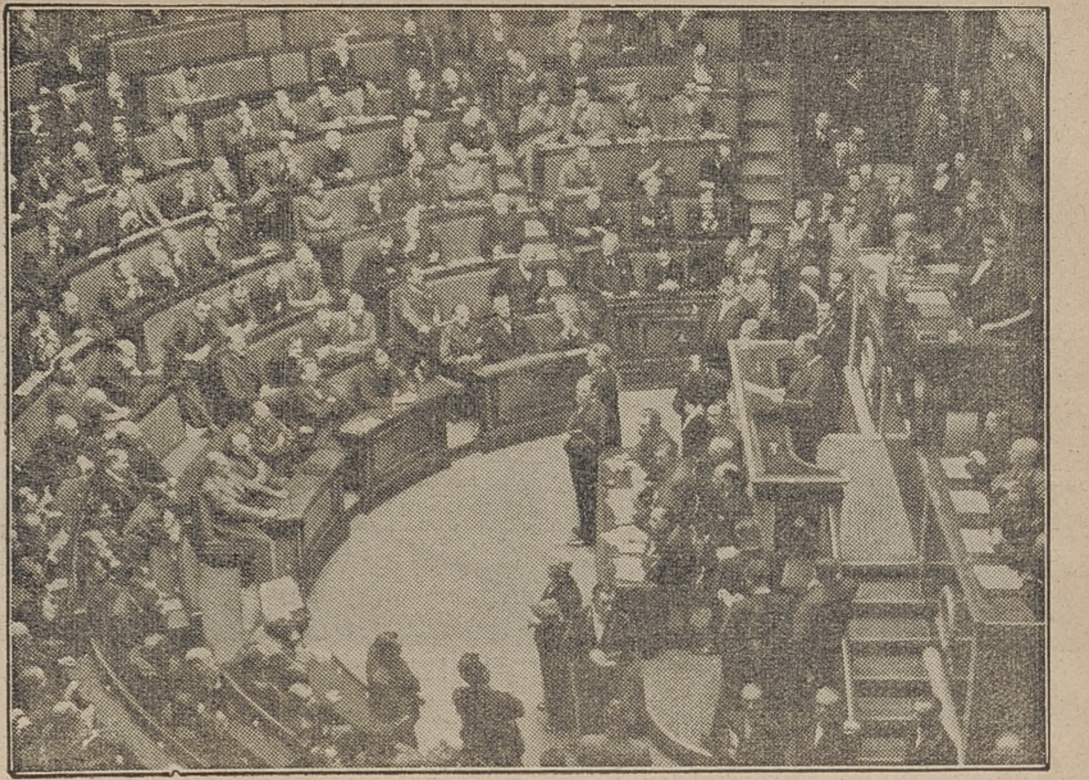
Nastały teraz dla całej rodziny słoneczne chwile.

Ułożono formularz na karty zaręczynowe i listę osób, do których je wysłać miano.

Gdy wezwano Tulliwera i Wakera, aby spisali też listę swoich krewnych i znajomych, oświadczyli obaj, że ten obowiązek biorą na siebie i własnoręcznie doniosą krewnym swoim o swym szczęściu.

Obaj rozkochani narzeczeni nalegali na to, aby ich wesele odbyło się w jeden dzień, i to w najkrótszym czasie w Rzymie jeszcze, a Inez i Fides były u szczytu szczęścia.

Jeśli miały jeszcze jakie życzenia, to te, aby serdeczne ich przyjaciółki, które o tyle lat wcześniej zamąż wyszły, t. j. Marta Cobler, Ida Burton i inne,



Premier francuski p. Chautemps wygłasza w izbie ustawodawczej deklarację swego programu.

mogły się naocznie przekonać o wielkim ich szczęściu.

Pocieszały się jednak tym, że napiszą obszernie do wszystkich swych znajomych w ojczyźnie i opiszą piękność swych narzeczonych ich majątek, rodzinę i miłość gorącą a bezinteresowną.

Po długich i daremnych usiłowaniach, po licznych rozczarowaniach, osiągnęły obie podstarzałe panny wreszcie cel swych życzeń i używały w pełni tego najszczęśliwszego dla nich czasu.

ROZDZIAŁ CLI.

Proszona herbatka u hrabiny Nostiz

W kilka dni po wizycie obu książąt Petöfich wywiązała się hrabina Nostiz z przyżeczenia danego obu kawalerom.

Gellini i Hortensja przyjęli zaproszenie jej tym chętniej że hrabina z ostrożności nie wspomniała nic o tym, że i obaj książęta Petöfy będą u niej.

Zapraszając ich na tę, dla nich urządzoną herbatkę, prosiła aby udawali, że przychodzą zupełnie przypadkowo.

Zaledwie Gellini z córką usiedli wygodnie w staromodnym, ale miłym salonie hrabiny, gdy stary Michał zameldował wizytę książąt Petöfy'ch.

Twarz Gellini'ego sposępniała, a hrabina spostrzegłszy to, zrobiła niewinną i skruszoną minę. Tylko Hortensja zawołała swobodnie:

— O, to się dobrze składa! Lubię tego czarnego księcia, bo on taki wesoły i zabawny.

— Prosimy — rzekła hrabina zwracając się do starego Michała.

Wyszła gościom naprzeciw i ku wielkiemu zdziwieniu Gellini'ego, szepnęła obu książętom coś, podając im rękę.

Były to słowa:

— Wywiązałam się ze swego przyrzeczenia; spodziewam się, że wy to samo uczynicie!

Książęta ukłonili się tylko, a potem powitali uprzejmie Gellini'ego i jego córkę.

Towarzystwo usiadło przy owalnym stoliku obok kominka, na którym palił się żywy ogień.

Czarny Petöfy manewrował tak zręcznie, że usiadł obok Hortensji.

Stary Michał podawał herbatę i różne przekąski, a rozmowa była ożywiona.

— Jaśnie oświecony książe — przemówił Gellini do rudego Petöfyego, który siedział tuż obok niego — zaszczyciłeś nas pan swoją wizytą, ale niestety, byłem wtedy zajęty, a moja przybrana córka nie przyjmuje ponów w mojej nieobecności. Proszę nam więc wybaczyć i nie gniewać się za daremny trud.

— Niezmiernie żałowałem — wycedził pod nosem rudy Petöfy — sądzę jednak, że mi się kiedykolwiek lepiej poszczęści.

Była to dla mitsrza Gelliniego nie bardzo przyjemna wiadomość. Przypomniał sobie z jakim zaufaniem przyjął u siebie księcia Iffalwiego i jak ten mu się za to odwdzięczył.

To też zapowiedź wizyty księcia Petöfyego bardzo ga zaniepokoiła i postanowił przeszkodzić ewentualnemu nowemu nieszczęściu.

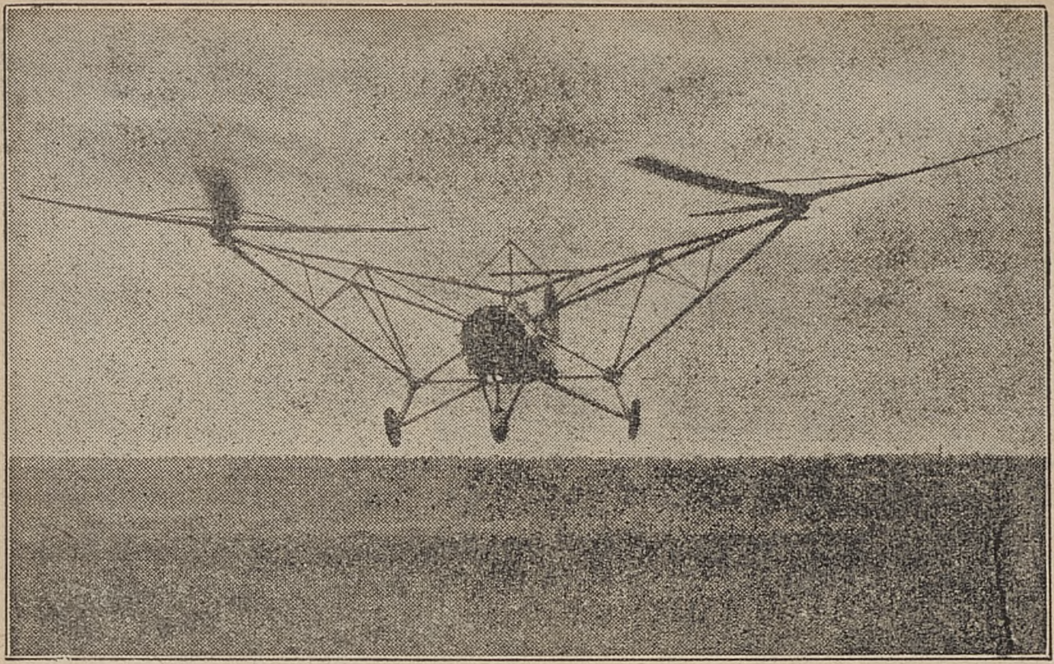
— Jaśnie oświecony książę — zaczął Gellini skromnie, ale bez uniżenia — pomówmy ze sobą szczerze i otwarcie. Zapowiedź wizyty pańskiej sprawia mi wielki zaszczyt, ale właśnie dlatego, że to za wiele łaski dla mnie, biednego nauczyciela muzyki, muszę zeń zrezygnować, choć czynię to z żalem.

Chciał jeszcze dodać kilka uniewinniających słów, ale rudy książę przerwał mu, niepohamowany w swej wściekłości:

— Więc mi pan dom swój wypowiada — syknął przez zęby.

W tej chwili padł na niego karzący wzrok hrabiny i zmitygował go.

— Jaśnie panie — zawołał Gellini przestraszony tym niespodziewanym wybuchem księcia, starając się załagodzić tę sprawę z prawdziwie włoską zręcznością. — Proszę mnie chcieć zrozu-



Na ilustracji nowy wynalazek niemiecki, który stał się sensacją w sferach lotniczych. Podjęte na tym aparacie próby, dały podobno nadzwyczajne wyniki.

mieć. Myślałem tylko że dom mój jest za skromny, aby zasłużył na zaszczyt odwiedzin książęcych.

Rudy Petöfy umilkł, a niemiłe inter mezzo zdawało się być ukończone.

Hortensja i „czarny" książe, tak byli zajęci rozmową, że zajścia tego nie spostrzegli.

— Kochana Hortensjo — prosiła hrabina, chcąc narzucić rudemu inne myśli — proszę zaśpiewać nam jedną z swoich melodyjnych pieśni.

Hortensja wstała i przystąpiła do otwartego fortepianu, na którym stały zapalone świece. Usiadłszy, zagrała krótką przygrywkę i zaczęła śpiewać silnym sopranem.

Głos jej nie tylko nabrał siły i pełnię tonu pod umiejętnym kierownictwem mistrza, ale zdradzał też świetną szkołę i zrozumienie rzeczy.

„Czarny" Petöfy słuchał oczarowany metalicznie czystymi tonami, wydobywającym się z gardła Hortensji. Zaś jego rudy kuzyn pożerał wzrokiem olśniewającą postać pięknej śpiewaczki, której piękność podnosił jeszcze żałobny strój. Jego porywało tylko ciało; cudna harmonia tonów, nie czyniła na nim najmniejszego wrażenia.

Gdy Hortensja skończyła, obsypał ją „czarny" książę grzmiącymi oklaskami. Rudy kuzyn jego akompaniował mu, ale jakby we śnie tylko.

Hrabina również była zachwycona czarującym jej śpiewem i, przystąpiwszy do uroczej śpiewaczki, pocałowała ją w czoło.

— Jeśli pani chce sprawić nieopisaną radość starej swej przyjaciółce, to proszę jeszcze coć zaśpiewać. — nalegała.

Hortensja nie dała się długo prosić i śpiewała pieśń za pieśnią.

Zapomniała wkrótce o słuchaczach i całe uczucie swoje przelewała w cudny śpiew.

Czarny Petöfy ukryty w cieniu kominka musiał mieć nie tak czyste myśli, bo jego czarne oczy pałały wyrazem ogromnej namiętności .

Gdy Hortensja skończyła, czarny Petöfy pocałował ją w rękę, mówiąc:

— Zawdzięczam pani najpiękniejszą chwilę mego życia.

Ton jego brzmiał tak serdecznie, że Hortensja odpowiedziała mu uprzejmym wzrokiem.

Spojrzenie to pochwycił rudy Petöfy i na ten temat robił sobie rozmaite brzydkie przypuszczenia, które dla Hortensji były ciężką obrazą.

Kiedy Gellini z Hortensją pożegnali hrabinę, poszli z nimi i obaj książęta.

Hortensja nie chciała jechać, ale po drodze złożyło się tak, że ona musiała przyjąć podane jej ramię rudego Petöfyego.

Szedł z nią tak prędko naprzód, że ledwie mogła mu nadążyć i milczał.

Dla niej to milczenie było zatrważające. Żeby je przerwać, zauważyła, że gwiazdy pięknie świecą na niebie.

— Co mnie obchodzi niebo — odparł Petöfy brutalnie — ja z panią mam o innych rzeczach do pomówienia. — Pani Hortensjo, kocham cię i musisz być moją.

To rzekłszy, pochylił się ku niej i korzystając z oddalenia, które go dzieliło od Gelliniego i kuzyna, pocałował ją.

Hortensja krzyknęła przestraszona, a krzyk jej usłyszeli obaj mężczyźni w tyle.

Tknięci złym przeczuciem, pobiegli szybko naprzód.

Hortensja, która teraz dopiero wyrwała się z ramion napastnika, rzuciła się na pierś ojca.

Co się stało? — zawołał mistrz Gellini przestraszony.

Odpowiedział mu zuchwały śmiech rudego Petöfyego.

— Panie — zawołał lwim głosem Gellini, który zwykle był tak łagodny — co pan zrobiłeś?

— To, co pan chyba dość często robi — odpowiedział tamten — nie wierzę, aby pan z czystej miłości chrześcijańskiej adoptował tę kobietę.

— Panie — krzyknął mistrz w najwyższym oburzeniu — za tę obelgę, wyrządzoną mnie i mojej córce, będzie mi pan musiał odpowiedzieć.

— Oho — zaśmiał się „rudy" pogardliwie — mylisz się pan grubo, sądząc, że z mieszczaninem i grajkiem stanę do walki.

— A więc ze mną będziesz się bił, jeżeli temu panu nie dasz żądanego zadośćuczynienia — wtrącił czarny Petöfy.

— Co? — wściekał się rudy — przeciw własnemu krewnemu chcesz wystąpić w obronie kochanki i jej paczki?

W odpowiedzi za tę obelgę wymierzył mu kuzyn głośny policzek.

Rudy Petöfy, pieniąc się z wściekłości, wyciągnął szablę.

— Krwią mi odpłacisz za tę zniewagę — zaryczał.

— Zapłacę — odpowiedział spokojnie młody oficer — możesz mi jutro przysłać sekundantów. Naprzód jednak będę sekundował panu Gelliniemu w walce przeciw tobie.

Rudy książe obrócił się na pięcie i, gwiżdżąc, odszedł.

Tamci zostali na miejscu.

Hortensja rzewnie płakała.

— Ojcze — zawołała szlochając — nie narażaj życia za mnie.

— Książe — zwrócił się do Petöfy'ego — czy musi się polać krew?

— Musi — odpowiedział Petöfy poważnie — ojciec pani musi się bić, bo straciłby opinię honorowego człowieka, Ale niech się pani nie obawia. Przepisy pojedynkowe są tak zaostrzone, że „rudy" musiałby całą karierę stracić, gdyby chciał wyzyskać sytuację dla niskiej zemsty.

— Moje dziecko! — dodał Gellini łagodnie, ale stanowczo, wiem, co jestem winien czci mojej i twojej, nie usiłuj więc skłonić mnie do zaniechania pojedynku. Taka jesteś zirytowana, że zapomniałaś podziękować księciu, że się ujął za tobą.

Zalana łzami, podała Hortensja rękę księciu i dziękowała mu w ciepłych słowach:

— Okazałeś się pan człowiekiem honorowym — kończyła — roztaczając opiekę nade mną. Niech pan chroni także mego ojca — prosiła.

Po drodze szepnął Petöfy Gelliniemu, że chce z nim jeszcze sam porozmawiać.

Gellini poprosił go więc głośno, żeby jeszcze wstąpił do nich.

Luigi zdziwił się, widząc ich wracających w towarzystwie jakiegoś obcego oficera, a widząc zapłakaną twarz Hortensji, przeczuł także coś złego.

Hortesja na skinienie ojca pożegnała się, rzuciwszy księciu wymowne spojrzenie z prośbą o ojca. Po tym mężczyźni zostali sami. Gellini kazał przynieść cygara i wino.

Petöfy bardziej był poirytowany całą aferą, niż się chciał przyznać sam przed sobą. Nie, żeby się obawiał walki i jej skutków, ale po pierwsze, przerażała go ogromna ordynarność i niskość duszy człowieka, z którym żył w przyjaźni i dzielił dolę i niedolę, a z którym teraz musiał stanąć do walki na śmierć i życie, powtóre, nie mógł się oprzeć jakiemuś złemu przeczuciu.

Umawiali się teraz o warunki spotkania. Mimo, że Petöfy przestrzegał, iż jego kuzyn bardzo celnie strzela, wy-

brał Gellini pistolety, mówiąc, że sam w młodości nieźle strzelał, i że go pewność strzału nie odstąpi w obronie honoru córki.

Wszystkie inne prawa odstąpił przeciwnikowi i zdał się ze wszystkim na sekundantów.

Po tej rozmowie pożegnali się ci ludzie tak różni wiekiem, stanowiskiem i usposobieniem, a Petöfy przyrzekł, że za godzinę napisze mu o wyniku konferencji z kuzynem.

Gdy mistrz został sam, weszła Hortensja.

Była jeszcze w sukni wizytowej, ale włosy jej były w nieładzie, twarz blada, a oczy zapłakane.

Uklękła przed Gellinim i ręce jego go okrywała pocałunkami.

— Ojcze! — błagała go ze łzami — niech twoja krew nie płynie z ręki tego szubrawca! Uciekajmy lepiej, ojcze! Niech ludzie lepiej szydzą raczej ze mnie i z ciebie, niżby twoje drogie życie miało być w niebezpieczeństwie!

Mistrz podniósł ją łagodnie i głoskał po głowie.

— Dziecko moje! — rzekł miękko i czule — jesteś zdenerwowana i rozczulona. Nie poznaję ciebie! Byłaś zawsze taka odważna, a teraz zaczynasz wątpić? Dlaczego pojedynek musi się dla mnie źle skończyć? Odwagi, dziecko! Bóg ochroni niewinnego, a o ucieczce nie mów mi. Czyżbyś mogła szanować człowieka, któryby ucieczką stchórzył przed walką? A widzisz! Ufajmy więc Bogu!

Hortensja nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć, i tak pozostali w milczeniu, jak gdyby się już żegnali na zawsze.

Gellini miał przeczucie śmierci, ale nie obawiał się jej. Zmęczony życiem bezsłonecznym, tęsknił za spokojem wiecznym. Znając charakter Hortensji, nie bał się o to, że ją samą będzie musiał zostawić, wiedział bowiem, że ma siłę moralną do walki z życiem.

Hortensja nie przeczuwała, co się dzieje w duszy jej ojca.

Tymczasem hrabina Nostiz śniła o latach młodości i spała spokojnie w przeświadczeniu, że gościom swoim sprawiła kilka chwil przyjemnych. Nie przeczuwała nawet, jakich nieszczęść przyczyną stała się pośrednio.

ROZDZIAŁ CLII.

Na dziesięć kroków

Opuściwszy dom Gilliniego, podążył czarny Petöfy w stronę mieszkania swego rudego kuzyna.

Kazał sobie dom jego otworzyć przez stróża nocnego, wszedł na pierwsze piętro i zadzwonił gwałtownie do oszklonych drzwi.

Po kilku minutach otworzył mu służący w kiedyś eleganckiej, a dziś znoszonej liberii, o wstrętnych i przebiegłych rysach twarzy.

Zobaczywszy czarnego księcia, cofnął się zdziwiony, bo spodziewał się zobaczyć swego pana.

— Janie — zapytał książę po węgiersku — czy jaśnie pan jeszcze nie wrócił?

— Nie, jaśnie panie! — odpowiedział służący, również po węgiersku.



Odpoczynek grupy żołnierzy z górskiej baterii armii brytyjsko-indyjskiej.

— No, to poczekam tu, nim jaśnie pan nadejdzie, rzekł spokojnie.

Służący otworzył uprzejmie drzwi prowadzące do jasno oświetlonego, bardzo pięknie urządzonego salonu, ale nieporządek tam panujący robił niemiłe, wstrętne prawie wrażenie.

Książę zrzucił z adamaszkowej kanapy cały stos różnych rzeczy i usiadł na niej wygodnie.

Na stole przed nim, leżały w kłąb zwinięte rękawiczki, rachunki, flakony, pół nadpalone cygara, fajeczki, szpicruty, a na tym wszystkim leżała wojskowa czapka.

Ani jeden sprzęt w całym tym salonie nie stał, nie leżał na swoim właściwym miejscu. W takim samym nieporządku znajdowała się też sąsiednia sypialnia, do której drzwi były otwarte.

— Nie uważasz na porządek! — rzekł książę z naganą do służącego.

— O, jaśnie panie! — skarżył się Jan godatliwie — jak tu można utrzymać porządek, kiedy książę pan tak wszystko rozrzuca i jaką chęć do pracy mieć mogę, kiedym od szeregu miesięcy nie otrzymał zapłaty! — dodał zawodząc.

— Od kiedy nie dostałeś zapłaty? — zapytał książę spokojnie.

— Od czerwca, jaśnie panie, — szlochał Jan — a jak proszę księcia pana, żeby mi wypłacił moją pensję, to mi jeszcze grozi, że mnie za drzwi wyrzuci.

— Ile ci się należy? — spytał czarny Petöfy z gniewnym wyrazem twarzy.

— Czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień październik, listopad i grudzień, który się już kończy — rachował Jan na palcach — to jest za siedem miesięcy, po 30 złotych, razem 210 złotych.

— Kłamiesz! — odpowiedział książę poważnie. — Mój francuski kamerdyner nie dostaje więcej jak 30 złotych miesięcznie, a tobie, byłemu chłopcowi węgierskiemu, napewno pan twój tyle nie daje.

— O, jaśnie panie! — płakał Jan — prawda, żem skłamał, bo dostaję tylko po 25 złotych.

— I to nieprawda! — rzekł czarny książę — ale masz tu pieniądze, abyś nie wykrzykiwał całemu światu, że ci książę Petöfy coś winien.

To rzekłszy, dał mu należną sumę, którą Jan chciwie złapał, dziękując uniżenie.

Gdy wyjął zatłuszczony portfel, aby włożyć otrzymane pieniądze, zobaczył książę, że portfel służącego był pełen.

— Masz jeszcze dużo pieniędzy — rzekł doń pogardliwie — mimo, że ci pan twój pensji nie wypłaca. Zdaje mi się jednak, że umiesz sobie sam radzić, mój przyjacielu! Mam cię za łotra i powiem księciu panu, aby cię odprawił.

Podczas tej przemowy czarnego Petöfiego twarz Jana przybrała zuchwały, wstrętny uśmiech. Było aż nadto widocznym, że się tej groźby nie boi.

Był on pomocnikiem i zaufanym swego pana w niejednej brudnej sprawie i wiedział, że mu był niezbędnym. Chciał właśnie czarnemu księciu coś zuchwałego odpowiedzieć, ale przeszkodziło mu gwałtowne dzwonienie, które, bez względu na śpiących sąsiadów, nie ustawało, dopóki Jan drzwi nie otworzył.

Rudy Petöfy wtoczył się widocznie pijany i do tego wściekle zły.

— Psie przeklęty! — ofuknął Jana — będziesz mi dawał czekać godzinami przed drzwiami, nim się namyślisz otworzyć? Czy mam cię nauczyć grzeczności, ty leniwcze?

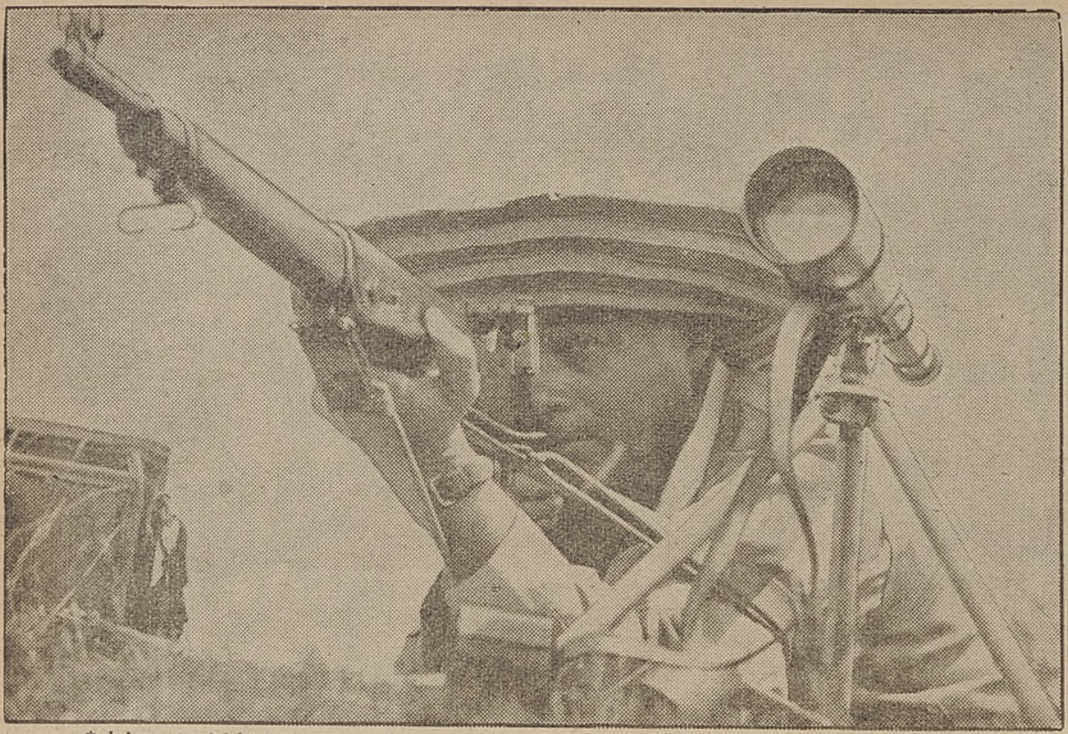
Ale w następnej chwili zobaczył swego kuzyna, a widok ten otrzeźwił go.

— Co mi sprawia ten zaszczyt? — zapytał szyderczo.

— Przychodzę jako sekundant pana Gelliniego! — odpowiedział czarny książę spokojnie.

— Do tego się więc zniżasz — spytał „rudy" pogardliwie.

— Tak! — zawołał „czarny" — Gellini jest człowiekiem honorowym i stojąc po jego stronie nie ubliżam sobie wcale. Oznacz mi miejsce pojedynku, twego sekundanta i t. d.



Żołnierz angielskich wojsk kolonialnych z Jamajki przy strzelaniu ćwiczebnym.

— Niech się odbędzie w piekle i diabeł sam niech będzie moim sekundanten — wrzasnął rudy dziko.

— Nie wrzeszcz jak szalony! — odparł jego kuzyn spokojnie — odpowiedz mi po ludzku, bo inaczej pożałujesz tego!

— Dobrze więc — syknął rudy — jutro o szóstej rano w lasku Mödlingskim, o dziesięć kroków, trzykrotna wymiana kul.

— Zgoda! — rzekł na to kuzyn jego spokojnie, zapisując sobie to do notesu. — Jutro, to znaczy piątek, bo teraz już mamy czwartek i jest piąta godzina zrana!

Rudy potwierdził opryskliwie.

— Kto będzie twoim sekundantem? — zapytał go czarny.

— Baron Tüngen przyrzekł mi swoje usługi — odpowiedział zapytany.

— Tak — rzekł na to czarny Petöfy — a po pojedynku z Gellinim, będziemy my się pojedynkować pod tymi samymi warunkami.

— A gdy mnie ten muzykant zastrzeli? — zapytał rudy drwiąco.

— Sam w tę możliwość nie wierzysz, — odparł —„czarny" spokojnie. — Obyś się nie odważył mścić się na Gellinim! Mścij się na mnie, jeżeli chcesz, ale oszczędź człowieka, którego tak brutalnie obraziłeś, zbezczeszczając niewinną jego córkę.

— Córkę? — powtórzył rudy szyderczo — raczej kochankę.

— Piotrze — zawołał kuzyn jego gniewnie — mówisz to, sam w to nie wierząc, bo wiesz dobrze, że pani Waldau jest rodzoną córką mistrza. Doszły cię przecież pogłoski, które gruchnęły po owym bazarze dobroczynności, gdy cesarz znalazł podobieństwo między Hortensją, a zmarłą księżną Iffalwi. Wiesz dobrze, że mówiono wtedy wiele o stosunku Gelliniego do księżnej, wtedy jeszcze hrabianki Lendsdorf, i że mają ogólnie panią Waldau za owoc owej miłości. — Jest to ogólnie znana tajemnica, którą jeszcze tylko Gellini z Hortensją uważają za tajemnicę. I ty masz odwagę obrażać i zbezczeszczać tę kobietę, tak ciężko losem dotkniętą? Czy miałbyś sumienie pozbawić ją jedynej podpory i opieki, którą ma w ojcu? O, Piotrze, nie bądź tak nieludzki. Jeżeli masz jeszcze iskierkę honoru w piersi, to oszczędź tego starca i siwy włos jego. Okaż, że jesteś godnym nazwiska, które nosisz.

Czarny książę użył całej potęgi swej wymowy, aby kuzyna swego zmiękczyć, nie mógł jednak dostrzec wrażenia, jakie na nim wywarł. Rudy stał bowiem przy kominie, odwrócony plecami do mówiącego i nie odpowiedział ani ruchem, ani słowem.

— Idę teraz — rzekł czarny Petöfy — do widzenia w piątek o 6-tej w Mödlingu. Nie mówię nic więcej, gdyż ufam krwi w tobie płynącej i nazwisku, które nosisz.

Gdy kuzyn jego wyszedł, odwrócił się rudy, a jego twarz, tak zresztą przystojna, była strasznie wykrzywiona namiętnością.

Był jakby uosobieniem ogromnej nienawiści i mściwości.

Biada temu, który był jego nieprzyjacielem.

Czwartek przed południem spędził Gellini w towarzystwie kilku osób z sądu, z którymi konferował przy zamkniętych drzwiach. Potem udał się do swoich zajęć zawodowych, a resztę dnia spędził z córką, nie mówiąc z nią nic o wypadkach dnia wczorajszego.

Otrzymał list od czarnego Petöfyego, ale nie mówił nic jej o treści, a ona nie odważyła się pytać. Nie mogła sobie wytłumaczyć skąd to pochodzi, że ojciec jest taki wesół i swobodny, a gdy ją na dobranoc, wbrew zwyczajowi, pocałował w czoło, odeszła zupełnie uspokojona.

— — — — — — —

Nazajutrz był poranek mglisty. Szron okrywał dachy i bezlistne gałęzie drzew. Ziemię okrywały zwiędłe, zmarznięte liście.

Na drodze prowadzącej do Mödlingu, jechała kareta, którą prowadził stangret, ubrany w szkarłatną liberię Petöfich.

Drzwiczki się otwarzyły i z powozu wyskoczył czarny Petöfy, a za nim jakiś gruby pan w czarnych okularach, zapewne lekarz.

— Dziesięć minut przed 6-tą — rzekł zadowolony — jesteśmy punktualni, panie doktorze, a przytem jesteśmy pierwsi.

Kazał stangretowi jeździć tam i napowrót, dopóki nie wróci i poszedł z lekarzem przez rów do przydrożnego lasu.

Za kilka chwil byli na polance.

Wnet ozwały się głosy i widać było, że przybywają inni.

Z jednej strony przyszedł Gellini, zaś z drugiej rudy Petöfy z sekundantem, baronem Tüngen, hrabią Rederem jako bezstronnym i doktorem Graberem.

Po zwykłych formalnościach przedstawiania się, zbliżył się hrabia Reder do Gelliniego i zapytał, czy nie zechciałby się pogodzić.

— Nie — odpowiedział Gellini krótko, na co rudy książę zaśmiał się ordynarnie.

Sekundanci odmierzyli odstęp na dziesięć kroków, następnie nabili pistolety i wskazali przeciwnikom ich miejsca.

Przez chwilę panowała głęboka cisza, potem bezstronny hrabia Reder, jako prowadzący walkę, dał hasło do strzału.

Pierwszy strzelał rudy Petöfy.

Oczy wszystkich zwróciły się na Gelliniego.

Echo strzału przebrzmiało, mistrz stał nienaruszony. Musiał Petöfy strzelać w powietrze, gdyż trudno było przypuszczać, żeby nie trafił.

Ale ta wspaniałomyślność przeciwnika, nie zrobiła wrażenia na Gellinim. — Wycelował nader ostrożnie i strzelił.

Ozwał się okrzyk wściekłości rudego księcia, kula bowiem oderwała mu kawałek ucha.

— Nędzniku — krzyknął, nie mogąc pohamować wściekłości.

— Sam jesteś pan nędznikiem — odpowiedział Gellini spokojnie — jesteś pan naznaczony i będziesz się pan nadal strzegł ubliżać honorowej kobiecie.

Czarny Petöfy z trwogą patrzył na swego rudego kuzyna.

Twarz rudego zeszpecona była wyrazem straszliwej mściwości.

Miała nastąpić druga wymiana kul i po opatrzeniu rany rudego księcia hrabia Reder dał znowu znak do walki.

Znowu strzelał rudy Petöfy i w tej samej chwili Gellini zachwiał się i padł na ziemię raniony śmiertelnie. Bez ruchu leżał w objęciach sekundanta, osłupiałym wzrokiem wpatrzony w niebo. Krew ciepła ściekała mu z rany na ziemię, plamiąc zwiędłe liście, lecz on nie widział tego. Szeptał tylko zamierającym głosem:

— Irmgardo, idę za tobą!

Ostatnie westchnienie wyrwało mu się z piersi razem z życiem.

Czarny Petöfy był straszliwie zmartwiony i zasmucony. Kazał zanieść trupa do swego powozu, prosił lekarza,

żeby jechał z nim i pomógł mu przygotować córkę zmarłego na straszną wiadomość, a potem dopiero zwrócił się do swego kuzyna.

— Morderco — rzekł z wyrazem strasznej pogardy — jesteś nikczemny i podły. Nie będę się z tobą bić, boś sobie postąpił niehonorowo. Zamordowałeś niewinnego człowieka, który mógłby cię zabić, albo złośliwie uszkodzić, a naznaczył cię tylko. Nie jesteś godny stanąć ze mną do walki.

Rudy książe słuchał tego z niepohamowaną wściekłością.

— Musisz się bić ze mną — zawołał — gdyż w przeciwnym razie zwołam sąd honorowy, który cię do tego zmusi.

Baron Tüngen i hrabia Reder przedstawili mu, że rzeczywiście nie ma powodu odmawiać kuzynowi satysfakcji, gdyż o morderstwie nie ma mowy, skoro mistrz padł w pojedynku, który się odbył według wszelkich przepisów kodeksu honorowego.

Czarny książe musiał im przyznać rację.

Stanął więc do walki, a hrabia Reder stawał teraz, jako jego sekundant.

Jako wyzwany, miał czarny Petöfy pierwszy strzał. Celował dobrze, ale nie w kuzyna, tylko w suchą gałąź nad nim i trafił świetnie.

Sucha gałązka spadła na ramię rudego.

Ten tymczasem snuł dzikie plany zemsty. Zabić nie chciał kuzyna, który był starszym, głową rodziny i panem majoratu, bo za to byliby go może wsadzili do więzienia i kto wie, czy może nie na dożywocie. Chciał go jednak złośliwie postrzelić, żeby go zrobić ułomnym i przyprawić o kalectwo, i w ten sposób usunąć go z wojska, z konia, z sali tanecznej i ze świata sportowego.

Celował dobrze, ale w irytacji ręka zadrżała i plan się nie udał.

Czarny Petöfy padł wprawdzie na ziemię, ale kula, jak się okazało, poszła trochę wyżej kolana w miejsce nieszkodliwe.

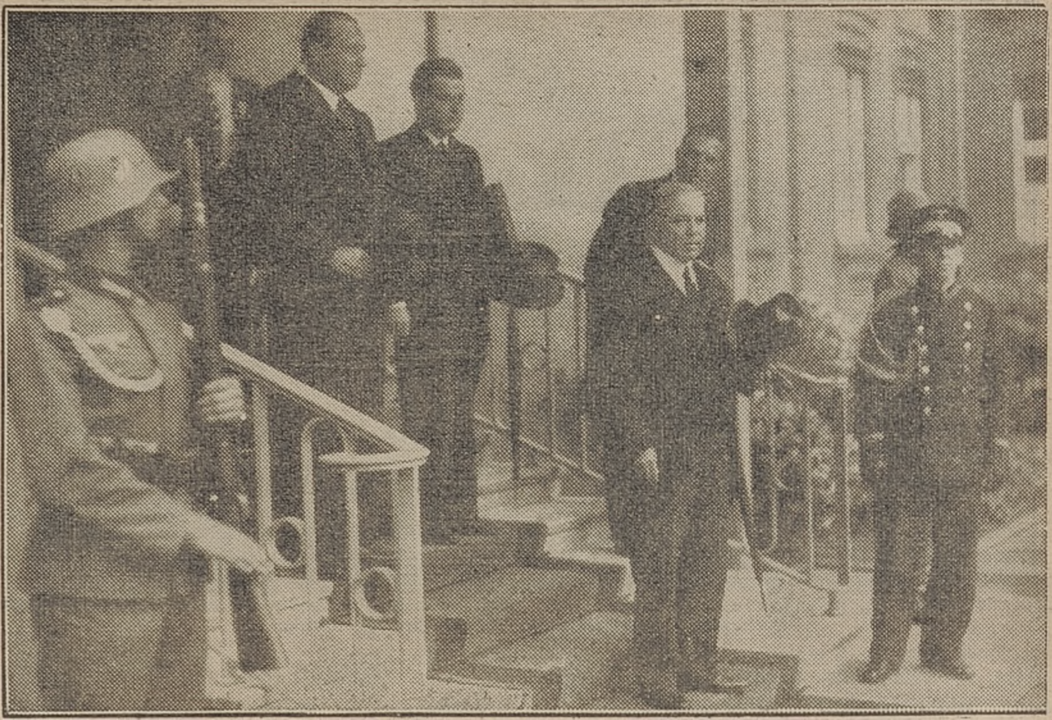
Z trudem powstrzymał rudy przekleństwo, że mu się nie udało i udawał, że mu bardzo przykro, iż miał to nieszczęście trafić kuzyna.

Ściskał go serdecznie za rękę, gdy po pojedynku godzili się, a w duchu klął tylko, że będzie musiał do miasta odwieźć w swoim powozie barona Tüngena i hrabiego Redera, że zatem przez całą drogę nie będzie miał swobody, żeby użyć swemu wybuchowi wściekłości.

Tłumił go więc w sobie przez całą drogę, ale za to wybuch wściekłości spotęgował się, gdy już stanął sam przed drzwiami swego mieszkania.

Gdy mu służący natychmiast nie otworzył, wybił szybę we drzwiach, przyczym pokaleczył sobie ręce. Naturalnie, że to spotęgowało jeszcze jego gniew. W pokoju zerwał opatrunek z ucha, z którego obficie ciekła krew, położył się na kanapę i obłoconymi butami, opatrzonymi w ostrogi, zaczął bić w adamaszkowe obicie kanapy.

Potem przez chwilę leżał spokojnie, aż wreszcie wrzasnął na służącego, żeby mu ściągnął buty.



Na zdjęciu widzimy kanadyjskiego prezydenta ministrów, gdy wychodzi z pałacu kanclerza Hitlera, u którego był z oficjalną wizytą.

Kiedy ten nie dość zgrabnie z tego się wywiązał, chwycił Petöfy but i uderzył nim w twarz służącego, przyczym owalał mu twarz błotem i zranił ostrogą.

Służący na pozór spokojnie otarł twarz z błota i krwi, ale w duszy przemyśliwał nad zemstą.

— Mówią w mieście, — rzekł — że jaśnie pan zastrzelił w pojedynku jaśnie kuzyna.

Mówiąc to kłamał, gdyż w mieście nie słyszał nic, a tylko wczoraj podsłuchał rozmowę książąt o pojedynku.

— Nieprawda! — krzyknął dziko książe.

— A to chwała Bogu! — mówił Jan dalej — ale mówili, że jaśnie pan zastrzelił w pojedynku także tego muzyka, Gelliniego.

— Stul pysk — wrzasnął rudy z wściekłością, oglądając się trwożnie na wszystkie strony.

A więc to prawda! — pomyślał chytry Węgier i teraz wydała mu się dobra pora do wykonania zemsty.

— Chciałbym prosić jaśnie pana pokorne, potrzeba mi 500 złotych.

— Nie mam! — rzekł rudy gniewnie — a gdybym miał, to bym ci także nie dał. Dość już wymusiłeś ode mnie pieniędzy.

— Jak to. Nie ma jeśnie pan marnych 500 złotych dla wiernego sługi? Nie wart jestem 500 złotych za to, że nic nikomu nie powiem? Bo gdybym powiedział — dodał groźnie — zamknęliby jaśnie pana do twierdzy.

— Możesz mówić! — krzyknął Petöfy pogardliwie, w tym przekonaniu, że głupi służący chyba nie będzie wiedział, jak ma wykorzystać znajomość tajemnicy na jego niekorzyść.

— Jak to, więc jaśnie pan nie da mi naprawdę tych marnych 500 złotych? — zawołał służący.

— Oto jest moja odpowiedź — krzyknął rudy, porywając but i rzucając w głowę Węgra.

Ten jednak schylił się zręcznie i but przeleciał mu ponad głową, uderzając z siłą w trybunę, w której potłukł bardzo wiele cennych przedmiotów. Potem wyślizgnął się zręcznie z pokoju.

Petöfy został sam z czarnymi myślami.

Tymczasem służący starannie pakował swoje rzeczy, biorąc przez zapomnienie to jakąś złotą szpilkę od krawatu, to srebrne nakrycie, lichtarz, podstawkę złotą lub bransoletę. Następnie cały kufer cichutko wyniósł z mieszkania, nie zamykając drzwi za sobą i poszedł do najbliższej doróżki, której się kazał zawieźć do znanej karczmy na przedmieście. Tam zostawił kufer, przebrał się z liberii w porządne ubranie cywilne i wrócił do miasta.

Wysiadł z doróżki przed eleganckim domem.

Na półpiętrze, na jednych drzwiach był napis:

Hrabia Kalnoki, jenerał gwardii kirasjerów.

Zadzwonił nieśmiało i służącego, który mu otworzył drzwi, a patrzył dość nieprzyjaźnie, przekonał guldenem, że do jenerała ma pilny interes.

Zaprowadzony do jenerała, przedstawił się jako rolnik z Mödling. Opowiadał, że przechodził przez las i był świadkiem tego a tego pojedynku. Opowiedział dokładnie, tak jakby rzeczywiście widział na własne oczy pierwszy pojedynek i początek drugiego, mówiąc, że końca już nie czekał. Potem, zadowolony z dokonanej zemsty, poszedł do karczmy zapić sprawę.

Petöfy tymczasem zasnął.

Nie wiedział jak długo spał, aż zbudził go brzęk szabel i ostróg.

Otworzył oczy, zobaczył dwóch oficerów.

Przyszli, żeby go aresztować. Zabrali mu szablę i kazali się ubrać, a gdy udawał, że nie wie o co chodzi, powiedzieli mu, że sprawa pojedynku już jest znana i że grozi mu za to przynajmniej 3 do 4 lat więzienia.

Gdy ubierając się wołał na Jana, przekonał się, że jego nie ma.



Niedawno odbyła się koronacja nowego króla Cyganów. Na zdjęciu uroczysty akt wkładania korony przez duchownego prawosławnego na skronie J. Kwieka.

Aha — pomyślał sobie — gdy okręt tonie, uciekają zeń nawet myszy.

Nie przypuszczał jednak, że jemu właśnie ma do zawdzięczenia kryminał.

— — — — — —

Owego dnia Hortensja zbudziła się wcześniej niż zwykle.

Ubrała się prędko i poszła do pokoju ojca.

Zdziwiła się ogromnie nie zastawszy go w pokoju, a że o tej porze nigdy nie wychodził, więc niepokój jej wzmógł się jeszcze bardziej.

Nie mogąc pohamować niepokoju, przeczytała list, który leżał na biurku.

Czytała tam na papierze listowym, opatrzonym w herb książęcy:

Szanowny Panie!

„Mam zaszczyt zawiadomić pana, że pojedynek ma miejsce o godzinie 6-tej rano w lesie Mödlingskim. Spotkamy się najlepiej tam na miejscu, a ja przywiozę lekarza.

Z szacunkiem

książę Piotr Petöfy I.
nadporucznik gwardii kirasjerów.

Przeczytawszy to, Hortensja zbladła. Całym wysiłkiem woli powstrzymała się, aby nie zemdleć i spojrzała na zegarek. Było pół do ósmej.

Wybiegła w szalonej trwodze, aby zapytać starego, wiernego sługi, co ma począć.

Ku swemu największemu przerażeniu zastała go w przedpokoju, szeptem rozmawiającego z jakimś obcym panem.

Był to doktór Graber.

— Na miłość Boską! — zawołała, tknięta złym przeczuciem — powiedz mi pan wszystko. Przychodzi pan pewno, powiedzieć mi coś o ojcu. Zlituj się i nie ukrywaj nic przede mną! Jestem przygotowana na wszystko.

— Jestem w istocie w tym fatalnym położeniu — odpowiedział lekarz — że muszę pani przynieść wiadomość bardzo smutną.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i weszło 4 ludzi, wnosząc na noszach całunem przykryte ciało.

Hortensja wpół nieprzytomna zdarła całun, a zobaczywszy martwe zwłoki ojca, padła na nie zemdlona.

ROZDZIAŁ CLIII

Wróćmy do naszego nieszczęśliwego bohatera Wernera.

Spadłszy tak nagle napowrót do piwnicy, stracił przytomność.

Obudziwszy się, czuł straszne bóle w członkach, ale straszliwszą jeszcze rozpacz, że ucieczka się nie powiodła.

Miał jeszcze tyle przytomności umysłu, że zwinął sznur i razem z gwoździem i nożykiem wsunął do łóżka, na którym legł sam chory i bezsilny.

Czuł straszliwe pragnienie, a nie miał siły wstać i wziąć dzbanek, by się napić wody.

Leżał tak bezsilny i dziwił się, że nikt nie przychodzi.

Przez chwilę przemknęła mu przez głowę myśl, że może Ilona chce się na nim zemścić i zagłodzić go w więzieniu.

Pocieszał się jednak przypuszczeniem, że ona nie zdobędzie się na taką zbrodnię, ale gdy sobie przypomniał los Ignacego, zdjęła go trwoga na nowo.

Przypomniał sobie jednak, że jeszcze ma na stole trochę środków żywności i postanowił zjadać z tego dziennie bardzo mało, aby wystarczyło jak najdłużej.

Tymczasem Ilona we wszystkich sklepach i restauracjach szukała Alojzego.

W każdej karczmie wyśmiewano ją, gdy się o niego pytała. Jeden szydził, że przecież Cyganka, która zna przyszłość, powinna znać także teraźniejszość. Inny śmiał się z niej, że ma takiego brzydkiego kochanka, i że nawet ten od niej uciekł.

Może go przejechali i leży w szpitalu — pomyślała Ilona.

Tam musiała się furtanowi okupić dwuzłotówką, aby jej dał żądane informacje.

— Czy przywieziono tu może jakiego dużego, silnego mężczyznę? — zapytała.

— Ty myślisz tego piwowara? — odpowiedział furtian — któremu beczka piwa upadła na nogi? Nie bój się, już z nim nie będziesz tańczyć, bo mu wczoraj ucięli obie nogi.

— Nie tego szukam — odpowiedziała — szukam Alojzego, kasztelana z Felseg. Czy tego nie przywieźli do szpitala?

Musiała mu długo opisywać jak kasztelan wygląda, zanim się dowiedziała, że leży w szpitalu i że jest mocno pobity.

Ale odźwierny szpitalny nie chciał jej wpuścić, mówiąc, że chorych można odwiedzać tylko w każdą środę i niedzielę.

Nie miała przy sobie więcej pieniędzy, żeby się okupić, ale przyrzekła mu, że jak na drugi raz przyjdzie, przyniesie mu tłustą gęś.

Odźwierny namyślał się co zrobić. Obawiał się lekarzy; z drugiej jednak strony, nęciła go nadzieja dostania tłustej gęsi i nie mógł się oprzeć pokusie. Nie wolno mu było oddalać się od furtki, wytłumaczył jej jednak, którędy ma iść, ażeby go znaleźć. Przestrzegał ją tylko, żeby się kryła przed lekarzami i żeby nie bawiła zbyt długo.

Gdy Ilona weszła do sali, nie zastała tam żadnego dozorcy, gdyż była to pora wieczerzy.

Długo rozglądała się między leżącymi na sali chorymi, zanim zobaczyła Alojzego.

Głowę miał obandażowaną, oczy świeciły mu w gorączce. Nie poznał Ilony.

Chorzy, leżący na sąsiednich łóżkach, mówili jej, że od kiedy przywieźli go do szpitala, nie odzyskał ani na chwilę przytomności.

Ilona wypytywała się, jakim sposobem Alojzy wpadł w takie położenie.

— Nie wiem — odpowiedział sąsiad, jakiś linoskoczek, który spadł z liny — znaleźli go nieprzytomnego na gościńcu i przywieźli tutaj.

— Czy nie mówi on w gorączce, kto go tak pobił? — pytała Ilona trwożnie.

Bała się śmiertelnie, czy on w gorączce nie wypaplał tajemnicy zamku Felseg, ale linoskoczek w odpowiedzi tylko się uśmiechnął.

— Gdzie my tam słuchamy, co każdy w gorącze mówi — zawołał.

Ilona w drodze powrotnej cieszyła się, że może Alojzy nie wyjdzie ze szpitala i że ona sama będzie miała Wernera dla siebie. Namyślała się tylko, co zrobić, to jest, dokąd go przenieść, jeżeli do Felseg przyjdzie nowy kasztelan.

Szybkim krokiem szła do domu, przyrzekłszy odźwiernemu, że mu przyniesie gęś ,mimo, że jej ani przez myśl nie przyszło wracać do szpitala.

Nie uszła jeszcze daleko, gdy uczuła jakąś ciężką rękę na ramieniu. Jakże się przestraszyła, zobaczywszy Cygana Benariego.

— Czego chcesz? — zapytała zła, że ja przychwycił.

— Żebyś szła do domu — odpowiedział Benari — Rachela złości się, że ciebie tak długo nie ma. Szukaliśmy ciebie na próżno, dopiero Hans Jörg powiedział nam, żeś poszła do miasta.

— Diabli by go wzięli! — zaklęła Ilona.

Benari pochwycił ją silnie za ramię i ciągnął za sobą.

— Czego chcesz właściwie ode mnie — wściekała się Ilona.

(Ciąg dalszy na stronie 577).

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

PROSZĘ O ADRESY!

O adresy, celem nadesłania listów, znajdujących się w redakcji — są proszeni: „Łobuz z Orchowa", „Miluś II.", „Biały Tulipan", „Wesoły Toruniak", „Stenia z Ina", „Wiarus — Murzynek", „Zrównoważony", „Raula", „Samotne Serce", „Mewka z nad Warty", „Mistyk" i „Stepowy Płomień".

JAK TO DOBRZE!...

„Mała Konwalijka". Jak to dobrze, Droga Dziewczynko, że masz już posadę. Nikt nie uwierzy, ile radości sprawił mi Twój list, donoszący o tym szczęśliwym fakcie. Postaraj się jeszcze tylko szybko i głęboko wczuć w atmosferę tego domu i potraktować go jak swój własny, a napewno zżyjesz się z nowymi ludźmi i warunkami. Zaś chyba wiesz, że to dużo znaczy, bardzo dużo!

List wysłałam, a co do twych przypuszczeń o „Czarnym Hajduczku" — to są one najzupełniej słuszne. Powiem Ci szczerze, Droga „Konwalijko", że dla „Hajduczka" mam bardzo wiele uznania i szacunku. Jestem niesłychanie ujęta jej postępowaniem i, na tym miejscu, wyrażam jej to.

Jeżeli zaś chodzi o Ciebie, winnaś zapamiętać sobie dobrze i na całe długie życie, że są na świecie ludzie dobrzy i są inni, może nienajlepsi, ale z mnóstwem dobrych odruchów, które równoważą częto ewentualne zło, jakie mogą ludziom wyrządzać. A taka pewność ułatwia życie i nie pozwala ulec zgnębieniu w ciężkich chwilach, których wszak dużo jest na świecie.

Życzę Ci, Kochana, dużo, dużo dobrego na nowej posadzie i proszę pisz, jak zwykle — nie zapominaj o „Rodzince" i o jej opiekunce.

TRUDNO BĘDZIE...

„Młody Orzeł". Ach, ten nasz miły sportsmen zawsze jest w dobrym humorze i zawsze pełen życia i energii. Ale co się dziwić, jest przecież entuzjastą wszelakich wysiłków ciała i, przypuszczam, ducha i ze sportu wyciąga maximum energii i siły.

Teraz na przykład wyjechał do Fordonu na kurs szybowcowy, a jest także żeglarzem i potrafi wynajdywać piękne widoki na zdjęcia, z których kilka mi nawet przysłał.

Tylko nie uda mi się, „Młody Orle", powiększyć ich w celu umieszczenia na okładce „Moich Powieści". W każdym razie, znajdą miejsce poczesne w albumie „Krainki".

Więc miałam słuszność, napisała do Pana, to dobrze!!

Pisze Pan, że niedługo otrzymam wiadomość z Fordonu, doskonale — od dziś czekam niecierpliwie.

ZMIENIŁAM TROCHĘ PSEUDONIM

„Baśka spod Koła". Tak, Kochana Moja, zmieniłam trochę Pani pseudonim, ponieważ „Baśkę" mamy już inną i trudno byłoby się zorientować ,dla której przeznaczone były by pozdrowienia „Krainiaków".

Cieszę się bardzo, że nie masz, Drogo Dziewczynko ,nic przeciw tej zmianie, a owszem, jest ona Pani przyjemną.

Widzę z Pani listu, że jesteś wrażliwa na piękno przyrody i umiesz patrzeć, a co ważniejsze — widzieć. Wielka to zaleta i warto ją pielęgnować z całą troskliwością, bo w rewanżu zyskuje się dużo miłych i kojących chwil.

A teraz „Baśka spod Koła" przemawia do „Krainiaków":

„Halo, halo — Irko Wielkopolanko, proszę Cię bardzo, abyś mi napisała list. Odpowiedź pewna.

Proszę o liściki: „Zagłobę Wielkopolanina", „Wioślarza" i „Tu — Aldek'a".

Pozdrowienia dla: „Białej Różyczki", „Wędrownej Chmurki", „Zadumanej Bajki", „Bursztynowego Serduszka", i „Gosposi".

Wszystkim „Krainiakom" serdeczne słowa i mocny uścisk dłoni.

NIE MOGĘ TEGO UCZYNIĆ

„Opuszczona Owieczka". Drogie Moje Kochanie, nie mogę Ci powiedzieć tego, o co prosisz, gdyż zawsze i nieuchronnie dochowuję tajemnicy nazwisk. To jedno, a po drugie — nie wiem nawet i, choćbym chciała, nie jestem w stanie Cię poinformować. Nie pogniewasz się chyba o to, gdyż jesteś Dziewczynką rozumną — prawda, Kochanie?

Napisz mi proszę, czy wyjeżdżałaś już na wakacje i gdzie oraz jak je spędziłaś. Tak ogromnie pragnę usłyszeć, że bawiłaś się dobrze i że jesteś naprawdę zadowolona i wypoczęta.

Zasyłam Ci serdeczny uścisk i proszę, abyś koniecznie doniosła mi dużo nowego o sobie.



KWITNĄ KWIATY...

W małym ogródku uroczym,
Kwitną już bratki i róże,
Gdy je rzęsisty deszcz zmoczy,
Wznoszą się w słońcu ku górze.

W małym ogródku uroczym,
Znów każde drzewko odżyło,
Gdzie tylko zwracam swe oczy,
Wszędzie zielono i miło.

Razem z dziewczynką swą małą,
Usiądę w cudnej altanie,
I spytam cicho, lecz śmiało:
„Czy wiesz, co miłość, kochanie?..."

Gdy zalśni księżyc srebrzysty,
I kwiatów woń nas upoi,
Wnet pocałunek ognisty,
Złożę na ustach dziewoi.

M. G.

Czyż wierszyk ten nie stanowi pięknego tła dla „Kochania"? Uroczo to stworzono uśmiechem delikatnym, subtelnym, jak zapach kwitnących „kwiatów", raduje nas — sieje urok dokoła swej wdzięcznej postaci.

CO ZNOWU!...

„Ali — Alu". Proszę mi brzydko nie wmawiać, Miły Panie „Alu", że mogłabym się znudzić tym „wałkowaniem", jak Pan się wyraził, jednego i tego samego. Bo przede wszystkim listy Pana są zbyt krótkie, aby się mogło coś w nich powtarzać, a powtóre, zbyt Pan rozumnie i treściwie pisze. Poza tym, ma Pan jeszcze jedną dużą zaletę, mianowicie pisze Pan wyraźnie, a to dużo znaczy dla mnie, która często spiesze się bardzo i przez to zmuszona jestem liczyć się z czasem.

Często czas, który zużywam na mozolne odczytywanie istnych hieroglifów mych, kiedyindziej nieocenionych rozmówców — mogłabym z powodzeniem poświęcić na gruntowniejsze przemyślenie spraw i tematów przez nich (rozmówców) poruszanych. I w konsekwencji mogłabym odpowiadać, głębiej i bardziej wyczerpująco. A tak z konieczności muszę się streszczać i nie mogę należycie skupić się nad samym tematem lub innym zagadnieniem, gdyż goni mnie niepokój, że nie zdążę odpowiedzieć innym „Krainiakom", którzy przecież także czekają niecierpliwie na słowa, dowodzące mej o nich pamięci i zainteresowania ich sprawami. Te wszystkie sprawy są mi bliskie i z zawsze równą siłą przejmują mnie.

To Panu powiedziałam dla dokładnej orientacji i dla uniknięcia na przyszłość zapytań lub przypuszczeń, że słowa skierowane do mnie mogłyby mnie nudzić. Och, każda najmniejsza taka aluzja smuci mnie i sprawia niewymowną przykrość.

Poza tym, jestem wręcz odmiennym typem od Pana, naturalnie gdy chodzi o czytanie listów, bo lubię otrzymywać właśnie bardzo długie.

Mam takie może dziwne choć ugruntowane przekonanie, że dokładniej i wyraźniej odkrywa się człowiek raczej w długich listach, to znaczy, wtedy nieumyślnie wypowiada się on wyraźnie, choćby słowa mówiły zupełnie co innego. A ja jestem po to, aby uchwycić duszę każdego piszącego i odpowiednio ją wesprzeć. Czynię to zresztą z ogromnym zadowoleniem wewnętrznym i z umiłowaniem sprawy, niech się tak wyrażę!

A teraz oddaję Panu głos:

„Małej Konwalijce" i „Kolorowemu Motylowi" za przesłane pozdrowienia dziękuję i w pełni je odwzajemniam.

„Wesoły Cowboy" — temat filozoficzny, może skrobnie Pan list o powyższym do mnie?

„Wróżka — Ala" — pseudonim ten nabił mi klina w głowę, tak, że oczekuję z tęsknotą i niecierpliwością wróżby. Dla szybszego jej otrzymania podaję adres, na który proszę wysłać list.

A więc: poczta Szelejewo, skrytka pocztowa nr. 1. Zarazem proszę przyjąć serdeczne pozdrowienia.

CZYŻ MOŻNA NIE BYĆ WZRUSZONĄ?

„Blanka". Ach, Droga Moja, tak głęboko jestem wzruszona słowami, które przekazujesz mi tym kochanym biletem, że wprost słów podzięki nie mam. Wierzę, że trochę przyczyniłam się do rozjaśnienia Twych myśli, lecz żeby tak jak piszesz.... Doprawdy, aż bolesne wydają mi się Twoje słowa przez głębię uznania i bodaj że przecenienia mej zasługi.

Muszę — poprostu dla uprzytomnienia sobie i należytego odczucia tego ciepłego prądu, jakim mnie oblałaś — przepisać te słowa i odczytać je wspólnie z wszystkimi członkami „Rodzinki", którzy są cząstką mego pulsu, mej krwi, co uderza wprost w najgłębszą komorę serca, budząc w nim uczucie przywiązania i głębokiej siostrzanej miłości.

Jak można nie kochać Was wszystkich, Mili „Krainiacy" i Ciebie, Najdroższa „Blanko", i... nie być wzruszoną do najgłębszych mocy, gdy czyta się takie słowa:

„Ja nigdy o Pani nie zapomnę, jako o tej, która pierwsza przemówiła do mej zbolałej duszy, zrozumiała i sprawiła, że obecnie jestem pogodną i... szczęśliwą!

A chociaż czasami nie piszę, często z sercem pełnym wdzięczności myślę o mej Najmilszej Nieznanej Przyjaciółce".

A dalej...:

„Jest cudny letni wieczór, na niebie pozapalały się pierwsze gwiazdy. Księżyc złotosrebrną prószy w krąg poświatę.

Zdala dochodzą dźwięki radia i mandolin. Jak w bajce...

Siedzę przy stole blisko okna, a przede mną leży ostatni numer „Moich Powieści".

W ten oto wieczór ślę Kochanej Pani moje serdeczne pozdrowienia.

Może i Pani w tej chwili zachwyca się pięknem wieczoru. Niechaj wietrzyk ucałuje Panią ode mnie, niosąc na skrzydłach swych słówko, że ją kocham".

I ja Cię kocham, „Blanko"! „Blanko" słodka i dobra — nie można więcej niż kochać, a to masz ode mnie.

Pozdrawiam Cię najserdeczniejszymi słowami i najtkliwszą myślą.

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO MATKI

Ach, nie uwierzysz, ma staruszko siwa,
Jakie mnie z Tobą łączy przywiązanie,
Odczuwam każdy ból Twój, serca drganie,
Jestem szczęśliwy, gdy Tyś jest szczęśliwa!...

Dla Ciebie gotów jestem oddać zdrowie
I ofiarować swe życie w podzięce:
Wszak pracowały na mnie Twoje ręce...
Niech się o takiej matce każdy dowie!

A gdy nadejdzie kiedyś ta godzina,
Że „ukochany" szepnie mi „jedyna"
I nas na zawsze połączy małżeństwo,

To, choćby oczy Twoje ziemia skryła,
Smutna, kwiatami porosła mogiła,
Pójdę do Ciebie po błogosławieństwo...

Mieczysław Grzegorski.

RUBIKON PRZEKROCZONY

„Przedwiośnie". Więc, Droga Moja, przekroczyłaś już zwycięsko Rubikon matury, która odgradzała Cię od samodzielnego życia. I tak też fakt ten należy Ci potraktować. Nie zaś stwierdzać apatycznie, że moment ten, jakby nie było — przecież wielki, przeszedł równie gładko i równie obojętnie, jak przechodzi w życiu niejeden fakt i niejedno doznanie.

Owszem ,przeszedł, bo wszystko w życiu przechodzi i mija, ale w tym właśnie jest różnica, że podczas gdy jedno mija bez silniejszego echa i bez korzyści dawanej, inne... przechodzi wprawdzie, lecz nie przemija.

Jak to rozumiem?

Ano tak, że to co przemija jest bezpowrotne, a to co przechodzi ma możność powrotu; powrotu twórczego i dającego pozytywne korzyści.

Przykładem żywym jest właśnie ta niedoceniana przez Drogie Moje „Przedwiośnie" — matura. Nikt nie zaprzeczy, że fakt jej złożenia przeszedł. Działo się tak jak z wszystkim. Naprzód było oczekiwanie na pierwszy dzień egzaminów — to była niepokojąca i trochę, troszeczkę tajemnicza przyszłość, potem nadszedł ten dzień ważny i to była już męcząca z powodu konieczności eksploatowania swoich sił — w tym wypadku umysłowych — teraźniejszość, a równocześnie pierwsze akordy, że tak powiem, przemijania; a potem nadszedł dzień wręczenia cenzusów i z chwilą tą dokonało się to, co przez szereg dni było w trakcie dokonywania.

Dokonało się i w moment po tym przeszło. Tak, przeszło, ale w skutkach nie przeminęło, bo cenzus dał uprawnienie do dalszego studiowania, ugruntował niejako i utwierdził jego posiadacza w świadomości posiadania wiadomości pobranych w szkole, stał się widomym tego znakiem. I nieraz jeszcze były abiturient powracać będzie do faktu, który przeszedł, a w skutkach nie przeminął, przeciwnie, jest zawsze aktualny, zawsze czynny i, można powiedzieć, żywy.

A to jest wszak ważne. Ważne dlatego, że nie ma potrzeby ustosunkowywania się do tego z niechęcią, z mimowolnym zawodem i biernością, zwłaszcza z biernością!

Tu bierność nie tylko zbędna, ale wręcz niewskazana, powinno się ją z miejsca wyrugować, skazać na zagładę, a podejść z całą bujną, najbujniejszą aktywnością.

Nie chcę oczywiście popychać Pani, Droga Dziewczynko, ku przecenianiu faktu zdobycia cenzusu maturalnego, ale chcę, abyś doceniała go i tym samym wyzbyła się tej niezrozumiałej obojętności i poniekąd niechęci, która bije z całego długiego listu.

Zresztą, tę chwilową apatię tłumaczyć pragnę sobie tym, że naszły Cię wspomnienia dawnych chwil jasnych i złotych, które przeżyłaś z osobą Ci drogą, a która już nie jest Twoją. Prawda, że te sprawy są bolesne i odbierają człowiekowi żywiołowość od zuwań nowych, że wtrącają go w marazm energii i woli, ale prawdą jest i to, że młodość jest zbyt silną, aby zbyt długo mogła poddawać się nastrojom ciężkim, beznadziejnym. Jej prawem jest branie i stwarzanie nastrojów jasnych, radosnych, rwących i ona nie godzi się na zanik wrażliwości, ani na uleganie apatii.

Dlatego wiem, że już wkrótce otrzymam od Ciebie, Dziewczynko, list inny, żywszy i radośniejszy i który będzie tchnął równie silną dobrocią — przeznaczoną nie tylko dla postronnych, ale i dla Ciebie samej. Koniecznie!

A teraz zasyłam Ci moc uścisków i serdecznych życzeń i zamieszczam Twój dopisek:

„Nelli" oraz „Smutnej i brzydkiej Irce" ślę miłe pozdrowienia, dziękując serdecznie za otrzymane. „Carmen" — „Słodka, Mała Dziewczynko, za wszystkie kochane słowa — mocno całuję buzię. Sympatyczny „Zbijobruku poznański" — czyżby? Bardzo mnie to cieszy! Dziękuję milunio za pozdrowienia i proszę, napisz. Dobrze?

P. H. Karge — Toruń. Ślę Pani wyrazy wielkiego uznania i ściskam serdecznie łapki.

Czy „Tu — Ryszard" i „Łobuz z Orchowa" zechcą mi zrobić wielką przyjemność i napisać do mnie?

TO NIC, ŻE SPÓŹNIONE!

„Wędrowna Chmurka". Piszesz tak miło i ciepło, że przepiszę kawałek Twego listu, aby i „Rodzinka" wiedziała, czego życzysz Jej i mnie:

„Proszę przyjąć i ode mnie życzenia, wprawdzie spóźnione, lecz szczere. Nie z mej winy ślę je tak późno. (I tu następuje wytłumaczenie, które Was, Drodzy „Krainiacy" mniej by zainteresowało.)

Życzę, aby w „Krainie" były tylko radosne i uśmiechem okraszone twarzyczki, a gorące słoneczko ogrzało wszystkie zziębnięte i... oziębłe, tudzież smutne serduszka.

Wyobrażam sobie radość Kochanej Pani, gdy taka chwila naprawdę zawita, wskazując, że wszystkie starania i dobre chęci Pani nie poszły na marne".

O, ja cieszyłabym się niesłychanie podobną chwilą, Miła Ty „Wędrowna Chmurko", jakkolwiek doskonale zdaję sobie sprawę, że ona zaistnieć absolutnie nie może, gdyż zawsze znajdzie się i samo się przez się rozumie, że znaleźć się musi, człowiek zasmucony i człowiek dotknięty zimnem nieprzychylnego losu oraz bólem o takim lub innym podłożu.

Na to już nie ma rady i to zresztą być nawet musi. Zaś „dobre moje chęci" i wszystkie starania i bez tego nie idą zupełnie na marne. Zawsze coś z nich pozostaje i zawsze jakiś drobny krzew z zasianego ziarna wyrasta.

A Wy wszyscy, którzy, mieszkając na wsi, nudzicie się okropnie — posłuchajcie, co mówi ta dzielna dziewczynka:

„Jestem dzieckiem miasta rzuconym na daleką, samotną wieś — a jednak nie jest mi źle. Gdy chwilami tęsknota chce mną zawładnąć, to popatrzę na stary kościółek drewniany, tuż pod moimi oknami i odrazu cisza znowu osiada w sercu.

Patrzę więc już jaśniej przez otwarte okno na piękne niebo, co rozpościera się nad falującymi łanami zbóż, na chmurki wędrowne, tak zmienne i ciekawe. — One mi nasunęły wybór pseudonimu. — Sercem całym odczuwam piękno przyrody, w nim się zatapiam i nim chwilami żyję".

Na zakończenie pozdrawiam w Twoim imieniu wszystkich sympatyków „Krainy", „Niusię" pytam, dlaczego do Ciebie nie pisze i „Zagłobie — Wielkopolaninowi" komunikuję uprzejmie, że życzysz mu radosnych chwil podczas wakacyj.

A Tobie co życzyć? Jak najszybszego wyjazdu na wakacje, które zamierzasz spędzić wśród rodziny i bliskich i które winny Ci dać dużo wrażeń i dużo miłych przeżyć.

PROSZĘ MNIE PRZEDSTAWIĆ

„Wesoła Kaszubka". Ma Pani najzupełniej słuszność, że i Panią przyjmę do Grona „Rodzinki" i zaprotegują silnie. Uczynię to z dużą przyjemnością, gdyż wnioskuję z listu, że jest Pani bardzo sympatyczną i miłą.

Nie odmawiam i drugiej prośbie i umieszczam apel:

„Halo! Tu „Wesoła Kaszubka, która pragnie powiedzieć „Krainiakom" kilka słów: Jestem blondynką o bujnych lokach i niebieskich oczach. Mam lat dwadzieścia, mieszkam na wsi i nudzę się okropnie.

Chciałabym chętnie nawiązać z kimś przyjazną korespondencję, aby rozproszyć trochę te nudy i zdobyć pokarm dla duszy we wzajemnej wymianie myśli.

Może, która z Sympatyczek lub Sympatyków „Krainy" napisze do mnie? Czekam!

Dla wszystkich siostrzyczek i braci z „Krainki" ślę miłe pozdrowienie.

Mój adres: Dla „Wesołej Kaszubki spod Pelplina".

Teczka Wujka Janusza

CZEKAM NA ZAPOWIEDZIANY WIERSZYK.

„Kochanie". List Pani ucieszył mnie niewymownie. Primo dla tego, że zawierał trzy piękne fotografie, a secundo, że przyniósł mi od Pani tyle słodkich, czułych słów. Dziękuję jak najserdeczniej i za pierwsze i za drugie.

„Jest w tej chwili prawie ciemno. Obok mnie pachną odurzająco róże w wazoniku. Są piękne — białe i czerwone. Są jakby uśmiechnięte — zdrowe i zadowolone z wszystkiego..."

Podobnie, jak Pani na fotografii, prawda? Myśl ta mimowoli nasunęła mi się, gdy przeczytałem powyższe słowa Pani, a następnie spojrzałem na Jej zdjęcia.

Przesyłam Drogiemu „Kochaniu" dużo, dużo dobrych słów i czekam na zapowiedziany wierszyk.

A MOŻE?...

„Czarodziejka". Gdyby to było w mej mocy, przesłałbym Pani tyle słonecznych promieni, że pojaśniałby od nich Pani dusza, a oczy Pani spojrzałyby radośniej w przyszłość. Jednakże, oprócz kilku pogodnych słów, nie mogę dać Pani nic więcej. Szkoda! Tak chciałbym bowiem, aby „Czarodziejka" czarowała wszystkich w „Krainie" pogodą ducha i radosnym uśmiechem, a nie powiększała swoją osóbką legionu ludzi smutnych.

Czy rzeczywiście, Droga „Czarodziejko", tak trudno być radosną? Czy nie da się przepędzić za góry i lasy tych ciemnych chmurek smutku, gdy przypłyną? A może jednak?... Proszę, bardzo proszę pomyśleć chwilkę nad tym.

Wiersze miłe, bogate w piękne akcenty, ale... jeszcze za mało oszlifowane. Zapewnie następne będą lepsze, więc czekam na nie i ściskam „Czarodziejce" mocno rączęta.

Na zakończenie przesyłam jeszcze w imieniu „Czarodziejki" serdeczne pozdrowienia „Przedwiośniu" i „Samotnej Włościance".

ŻAŁUJĘ!

„Willy". Stanowczo za dużo ma Pan szczęścia. Wiadomość oszołomiła mnie. Za zdjęcie dziękuję. Żałuję, że nie zgadza się Pan na reprodukcję fotografii, gdyż niewątpliwie podobałaby się wszystkim. Łączę przyjazny uścisk dłoni i na zakończenie komunikuję, że w najbliższych dniach wyślę Panu żądane egzemplarze.

BAJKI ZŁOTE...

Zbyszkowi poświęcam.

I znów najcudniejsze bajki śnić będę...
O zachodzie słońca, wśród cichych wspomnień,
Kiedy do godzinki szarej zasiądę,
Czy wtedy przybiegniesz choć myślą do mnie?

Szara nas złączyła godzinka z sobą
I wzruszeń nam cudnych dała aż tyle —
Że niezapomniane są chwile z tobą
I zawsze wspominam je... słodko, mile.

I długo marzenia złote śnić będę,
Aż nocka zapadnie gdzieś ponad lasem...
I czarny mrok płaszczem otuli ziemię
Dobrze w kraje bajek ulecieć czasem.

„Milusińska".

Raj kobiet



J 80056 Popołudniowa sukienka z białego jedwabiu do prania, o oryginalnie skrojonych rękawach, przybranych haftem płaskim. Przy szyi — chwast jedwabny. Potrzeba około 4.75 m. jedwabiu, szer. 80 cm.

J 80106. Elegancka suknia wieczorowa z jedwabiu, o kroju wybitnie wyszczuplającymi, rękawy w formie podwójnych pasów. Potrzeba około 4.60 m. mater. szer. 95 cm.

J 80109. Na tę suknię wieczorową nadaje się crêpe satin i koronka; połączenie takie daje efektowną całość; rękawy pięknie drapowane. Potrzeba około 5.35 m. crêpe satin szer. 90 cm. i 0,60 m. koronki szer. 90 cm.

Kroje powyższe (Lyona) nabyć można w naszej administracji w cenie 1.90 zł.

Kobieta rosyjska chce się ładnie ubierać

Nie tylko młodzież sowiecka, która wywalczyła sobie w kraju pryncypalizmu prawo do radości i do burżujskiego szczęścia i bawiła się niedawno w parku „kultury i odpoczynku" do rana na pierwszej w Sowietach zabawie karnawałowej, ale i rosyjska kobieta ma dość ascetyzmu.

„Chcemy być eleganckie, chcemy się ładnie ubierać" — takie hasło brzmi obecnie po całej Rosji, hasło, nic wspólnego nie mające ani z planami pięcioletnimi, ani z rozbudową gospodarczą. Czterdzieści milionów kobiet Związku straciło cierpliwość. Poczęła je pożerać zazdrość, taka sama zupełnie jak zazdrość ich sióstr z Paryża, Londynu czy Warszawy — na widok innych kobiet, noszących modne suknie, zgrabne buciki i cieńkie pończochy.

Napływ cudzoziemców, tak propagowany przez Sowiety, turystów, wycieczkowiczów najróżniejszego typu i pokroju, napływ kobiet zagranicznych do Rosji, spowodował ten nowy pęd wśród obywatelek sowieckich. Przelotne ptaki — żony z zagranicy — odziane w piękne piórka, w kosztowne futra i powiewne suknie, wywołały ten zdawna tajony wybuch czysto niewieściej zazdrości o „szmatki".

T. zw. „czynniki miarodajne" próbowały początkowo zaradzić złemu przez koncepcję „mody proletariackiej". Na łamach pism pojawiły się szumne frazesy, jak kobieta sowiecka powinna być ubrana, by jej strój harmonizował godnie z wysokimi i poważnymi celami, jakie ma przed sobą. Jakaś bluza na pół żołnierska, na pół robotnicza, często nawet pas, grube pończochy, półbuciki na niskich obcasach — taka toaleta odpowiada „godności kobiety sowieckiej" — twierdziły pisma.

Elisabeth Haves, wybitna znawczyni mody w Ameryce, pojechała specjalnie do Rosji, by tam poszukać natchnienia do nowych pomysłów. Amerykanka sądziła, że owe projekty sowieckie wprowadzone w czyn, inaczej mówiąc, kobiety rosyjskie odziane według przepisów „Instytutu postępu" — muszą być ciekawym materiałem dla studiów. Ale pani Haves rozczarowała się. Ustaliła bowiem, że kobiety rosyjskie nie chcą nosić tkanin we wzory skomponowane przez Instytut, i że mają pojęcie o modzie takie same jak paryżanki, warszawianki i mieszkanki Nowego Jorku. Bardzo znaczna liczba żurnali paryskich, jaka znalazła się nawet u skromniejszych kobiet w Moskwie i Leningradzie, świadczyła wymownie, w jakim kierunku wybiegają ich westchnienia.

Najcharakterystyczniejsze jest w tej dziedzinie stanowisko policjantek moskiewskich. Gdy im oświadczono, że będą nosiły spodnie, wiele z nich wolało zrzec się stanowiska — niż przywdziać „jedynastki". Również w fabrykach coraz mniej widać kobiet, pracujących w spodniach, choć przedtem było ich bardzo wiele. Policjantki moskiewskie noszą spódnice: nie dały się.

Mimo tego stanu rzeczy, kobiety sowieckie jeszcze jakoś nie przezwyciężyły niektórych wspomnień z dawnych czasów, gdy prawie wszystkie nosiły męskie „rubaszki" zapięte pod szyją. Są, jak na nasze stosunki, mocno wstydliwe, nie obnażają się tak łatwo, jak kobiety na Zachodzie. Elisabeth Haves pisze w jednym z magazynów amerykańskich, że zaobserwowała na plaży zgrabną i młodą kobietę, noszącą długi, bardzo skromny płaszcz kąpielowy. Na prośbę znawczyni mody — owa niewiasta odchyliła na chwilę płaszcz: miała na sobie na pewno zagraniczny, piękny i nawet specjalnie wydekoltowany kostium kąpielowy. Ale nie miała odwagi i nie pokazywała się w nim.

Podczas gdy z jednej strony komisariat oświaty ludowej dba o powrót do strojów ludowych i gdy grupa artystyczna, przydzielona do niego — zwalcza masowy wyrób konfekcji — koncern przemysłu odzieżowego — wyzyskuje ten nowy prąd wśród kobiet i liczy na większy zbyt „modnych" płaszczy, sukien itd.

Ruch ten nie tylko ogarnął gubernie centralne. Kobiety z republik azjatyckich, dotychczas nie znające innych strojów, jak ludowe i mocno egzotyczne — porzucają szarawary, chustki i zapaski pramatek i również głoszą hasło: „Chcemy być eleganckie". Mają pono wrodzonej elegancji i poczucia dobrego smaku więcej, niż Europejki.

Kraj Sowietów się zmienia. Młodzież się bawi, kobiety się stroją.

DOBRA GOSPODYNI

Kompoty gotowane bez cukru. Przyrządza się je ze wszystkich drobnych owoców, jak: wiśni, malin, agrestu, porzeczek, czereśni i in. Zebrany w suchy czas owoc należy wsypać w słoje lub butelki, obwiązać pęcherzem i gotować w sianie, jak zwykłe kompoty. W suchym i chłodnym miejscu dadzą się przechować całą zimę. W miarę potrzeby używa się je na zupę.

Sałata z kalafiora. Ugotowany kalafior rozdrobniony na salaterce, zalewa się majonezem, sporządzonym z twardego żółtka, utartego z oliwą i octem lub sokiem cytrynowym, solą i cukrem do smaku; łyżeczka musztardy smak podnosi, lecz nie jest konieczna. Dookoła układa się płatki pomidorów i ogórka.

Sałata z pomidorów. Wybrać dojrzałe pomidory, pokroić na plasterki, posolić i popieprzyć. Wlać oliwy i octu do smaku. Można utrzeć pół ząbka czosnku, co podnosi dobry smak. Można także dodać drobno pokrajanego ogórka kiszonego.

Sałata z kapusty. Poszatkowaną białą kapustę ugotować tak, by chrupała w zębach, i odlać na sito. Pokrajać w kosteczki, trochę słoniny wędzonej lub tłustego boczku, wysmażyć, zalać octem, wsypać kapustę, wymięszać, dosolić i wygrzać.

Sałata z selerów. 30 dkg selerów i 30 dkg jabłek pokrajać w cienkie paski i zaprawić dwoma łyżkami oliwy, sokiem z cytryny, dodając soli i cukru do smaku. Postawić na 2 godziny w zimnym miejscu. Ubrać zieloną sałatą.

Sałata z surowej kapusty czerwonej. 1 główka kapusty, 1 cytryna, 2—3 łyżki miałkiego cukru, 5—6 łyżek oliwy soja, mielony pieprz, sól, Maggi'ego przyprawa.

Główkę czerwonej kapusty drobniutko poszatkować, sparzyć wrzącą osoloną wodą, a następnie na durszlaku odcedzić i skropić sokiem z cytryny, aby kupuście przywrócić jej naturalny kolor. Gdy wystygnie, posypać do smaku cukrem, oprószyć mielonym pieprzem i polać oliwą soja. Przed wydaniem suto skropić Maggi'ego przyprawą.

RADY PRAKTYCZNE.

Bielenie płótna. Pożółkłe od starości płótna najłatwiej jest wybielić w sposób następujący: Rozpuścić funt białego mydła w galonie świeżego zbieranego mleka, włożyć w to płótno i gotować przez kilkanaście minut, a następnie wypłukać w dwóch czy stych wodach, dodając do ostatniej nieco farbki do prania.

Inny sposób prania pożółkłej bielizny. Na funt „chloride of lime", rozpuszczonego i przecedzonego, wlać dwa lub trzy wiaderka wody. Do tego włożyć na noc pożółkłą bieliznę, wybieli się gruntownie. Usuwa to także rdzę z bielizny. Następnego dnia wypłókać dwukrotnie.

Czyszczenie czarnej materii. Rozpuścić jedną uncję dwuwęglanu amonii (bicarbonate of ammonia) w jednej kwarcie ciepłej wody. Płynem tym natrzeć materię, posługując się w tym celu kawałkiem flaneli lub czarnej materii. Po użyciu tego roztworu wypłókać materię dobrze w czystej wodzie, wysuszyć i wyprasować i szczotkować od czasu do czasu w kierunku jak idą włosy.

Pranie sztucznego jedwabiu. Sztuczny jedwab, obok pięknego wyglądu i przystępnej ceny, posiada jeszcze zaletę trwałości i łatwego prania. Zalety te ceni pani domu bardzo wysoko, gdyż właśnie one zjednały sztucznemu jedwabiowi w szerokiej mierze sympatię świata kobiecego. Lecz oczywiście piękne te wielobarwne tkaniny wymagają przy praniu nadzwyczajnej troskliwości i delikatnych zabiegów. Należy starannie unikać silnego tarcia i szarpania. Środkiem nadzwyczajnie nadającym się do prania bielizny ze sztucznego jedwabiu jest „Persil", ze względu na to, że nawet w zwykłym, zimnym roztworze czyści przecudownie bez tarcia najwrażliwsze tkaniny surowego jedwabiu i ożywia połysk i barwę.

Na ogół wystarcza krótkie przepłókanie w zimnym roztworze Persilu. Należy, przeznaczoną do prania sztukę, zanurzyć i lekko wycisnąć kilkakrotnie. Nie należy rozciągać ani też trzeć lub wykręcać materiału w stanie mokrym, lecz jedynie lekko wycisnąć. Płótna natomiast po wypraniu w zimnej wodzie, do której dodać kilka kropli octu. W celu suszenia zawinąć w białą chustę i prasować niezbyt gorącym żelazkiem. Przedmioty z prawdziwego jedwabiu pierze się tak samo. W celu stwierdzenia, czy barwny materiał w wodzie nie straci na kolorze, należy wprzód umaczać mały narożnik w czystej wodzie i wycisnąć mocno nad białym papierem lub chustką. Spływająca woda winna wtedy pozostać zupełnie klarowną, a podkładka niezabarwioną.

Ze świata

Szczęśliwy człowiek

Nie poci się nawet w upały

Spotykamy b. często ludzi, którzy nawet przy nieco szybszym kroku bardzo się pocą. Inni znowu doświadczają tego zjawiska w gorącej kąpieli, lub w okresie upałów letnich. Pomiędzy tymi dwoma rodzajami ludzi znajduje się jeszcze wiele innych, u których objawy pocenia się występują w najróżnorodniejszych okolicznościach. Niemożliwym zdawałby się fakt odnalezienia człowieka, któremu pot jest absolutnie nieznany. A jednak Towarzystwo Medyczne w Paryżu przedstawiło mężczyznę, liczącego 47 lat. Jest on właśnie tym fenomenem. Usiłowano wywołać u niego pot przy pomocy zastrzyków pilokarpiny i gorących kąpieli, lecz nadaremnie. Zjawisko to tłumaczą sobie lekarze brakiem gruczołów potnych u tego człowieka.

Kłopoty z dzieckiem zrodzonym w samolocie

Prasa sztokholmska poświęciła sporo miejsca wypadkowi, jakiego jeszcze nie zanotowano dotąd w dziejach ludzkości, i który z tego powodu wprawił w zakłopotanie prawników, albowiem ustawy nie przewidziały takiej możliwości.

Pani Overtonea otrzymawszy wiadomość, że jej matka jest ciężko chora, udała się samolotem z Sztokholmu do Boddenu, gdzie mieszkają jej rodzice. W drodze dostała bólów porodowych i zanim samolot wylądował w Boddenie — powiła córeczkę. Teraz zachodzi takie pytanie: jakie jest miejsce urodzenia dziecka, tj. w jakiej gminie należy sporządzić metrykę?

Można urodzić się w powietrzu, ale metryka musi być pochodzenia ziemskiego.

Fryzjer astronomem

Nieznany dotąd fryzjer japoński, Kazukai Gomi, stał się nagle wielką znakomitością. Pisma japońskie poświęcały wiele miejsca swemu rodakowi, który dokonał odkrycia nowej gwiazdy. Kazukai Gomi był skromnym fryzjerem; w wolnych od pracy chwilach oddawał się z zamiłowaniem studiom astronomicznym. Z groszowych zarobków zdołał uciułać niezbędną sumę na zakup lunety. Odtąd całe wieczory poświęcał studiowaniu niebosklonu. W ubiegłym roku, w czasie całkowitego zaćmienia słońca wziął on udział jako amator w obserwacji naukowej w obserwatorium w Tokio. Wówczas to udało mu się odkryć gwiazdę, którą nazwał „Nową jaszczurką". Ostatnio poseł amerykański w Tokio wręczył Kazukai Gomi złoty medal uniwersytetu w Harvard. Jest to najwyższe odznaczenie naukowe i posiadają je dotąd nieliczni tylko uczeni.

Diamenty sztucznej fabrykacji

Profesor Brauns, kierownik Instytutu Mineralogicznego w Bonn, stwierdził niedawno publicznie, że fabrykacja sztucznych diamentów jest rzeczą nieosiągalną. Dokładne analizy wykazały, że ani Ruffi, ani Moissan, ani Hoffman nie zdołali stworzyć diament, nie było diamentem. Jak wielu uczonych, diament, nie było diamentem. Jak wielu uczonych padli ofiarą pomyłki i optymizmu. Sposobem laboratoryjnym udało się dotychczas „wyhodować" szmaragdy i rubiny. Teoretycznie nic nie przeszkadza wyhodowaniu diamentów o ile, rzecz oczywista, uda się przezwyciężyć największą trudność, to jest znaleźć metodę krystalizowania węgla.

W parę dni po odczycie profesora Braunsa, zjawił się w jego laboratorium młodzieniec, asystent Uniwersytetu w Giessen i ofiarował mu osiem błyszczących kamyczków. „Są to diamenty mojej fabrykacji" powiedział skromnie.

Profesor z niedowierzaniem poddał kamienie dokładnej analizie. Zbadał ich twardość, łamliwość, przekrój — i musiał uznać, że są diamentami czystej wody. Ważyły razem karat. Nie chcąc odrazu przyznać się do porażki, profesor postawił inną diagnozę: że diamenty są za prawdziwe, to jest, że nie wyszły z laboratorium... Po zasięgnięciu informacji o młodym uczonym, musiał cofnąć tę hipotezę.

Zainteresował się młodzieńcem. Ułatwił mu porozumienie się z firmami chemicznymi w Niemczech. Młody uczony zażądał jednak tak bajońskich sum, za zdradzenie tajemnicy, że dotychczas nie znalazł się amator na nią. Tym bardziej, że — według jego własnych obliczeń — karat sztucznych diamentów kosztowałby prawie to samo, co karat diamentów naturalnych. Młody uczony twierdzi coprawda, że w tej samej cenie można fabrykować diamenty nawet dziesięcio i więcej karatowe — ale zanim nie przedstawi dowodu rzeczowego — wątpliwie, czy ktokolwiek zechce z nim zawrzeć umowę.

JAN FELIKS PŁOCIENNIK.

POWRÓT

(NOWELA).

Wzburzone morze szalało. — Potężne bałwany unosiły się, to znów opadały, a niekiedy z szumem gwałtownym uderzały o siebie — tak, że woda w miliardy kropel się rozpryskiwała. A kiedy bałwan gonił za bałwanem, coraz wyżej się piętrząc, na grzbiecie ich tworzyły się małe grzebienie z rozpryśniętej wody i piany. Ciemne morze z ogromnym łaskotem przelewało swe wody, wzdymało się, to znowu spadało, jakby w otchłań bezdenną. — Wiatr huczał. — Z czarnych chmur wpadały w morze pioruny i błyskawice.

Maciej Grzela nie spał tej nocy. — Usiadłszy na stołku w kącie pokoju swej „checzy" rybackiej, z iście charakterystyczną cechą rybaka morskiego wyjął tabakierkę i wsypawszy na rękę szczyptę tabaki — zaciągnął się, po czym nie okazując bynajmniej żadnego zdenerwowania, oczekiwał z „angielską" flegmą na narodziny swego „jutra".

Grzela nie czuł zmęczenia. — Jego umysł zaprzątnięty był tym, czy jeno rofalowane szumem i hukiem morze — nie wyrządziło jakiej szkody transatlantykowi, na którym nazajutrz rano powrócić ma, po długich latach z obczyzny, jego starszy syn, Heliodor.

Będzie to radość nielada! — pomyślał starzec, wsłuchując się w ryk rozsrożonego, podoonego do strasliwie zagniewanego olbrzyma, morza.

Nad ranem wszystko ucichło. — Niebo wypogodziło się, a wspaniałe ogniste słońce wschodząc, rzucało na fale snop swych promieni, niby rozpuszczone sploty złoto-srebrnych włsów.

Grzela wyszedł z checzy i skierował swe kroki w stronę wybrzeża, gdzie stały jego kutry rybackie. Burza przez noc zalała kutry, wobec czego Grzela uruchomił pompę i oczyścił motorowy kuter, po czym wyruszył na małą przejażdżkę, wypatrując nadejścia do portu gdyńskiego — polskiego transatlantyku.

Żeglując po wielkim polskim morzu, patrzył stary Grzela tęsknie w dal, a jego charakterystyczna sylwetka odbijała się w drgającej, zielonociemnej niezmiernej głębi morza wraz z słońcem, którego promienie padały już nieomal poziomo. Naraz dojrzał na morzu małą chmurkę, która rosła co chwilę — tak, że wkrótce rozpoznał stary rybak wspaniały transatlantyk.

Nawrócił więc swój kuter i, zakotwiczywszy go u brzegu, pobiegł czym prędzej do portu, gdzie z bijącym sercem czekał na chwilę, kiedy zobaczy wreszcie ukochanego syna.

—o—

— Nie wrócił... Lecz dlaczego? Co się stało? — rozmyślał smutny Grzela, kiedy w pół godzinny po tym odchodził sam z dworca portowego.

A może go tylko nie poznałem... — pocieszał się w duchu starzec, zdążając do swej checzy z myślą,

Lecz już całkiem posmutniał, kiedy nadzieje go że może zastanie tam siedzącego syna. zawiodły i Heliodora w checzy nie zastał.

— Czy stało się coś nieprzewidzianego, i co? — kombinował rybak i w tym chaosie myśli zapomniał całkiem, że przecież najlepiej by było iść do portu i stwierdzić według książki okrętowej, czy syn jego w ogóle wsiadł na okręt.

Bo przecież po tylu latach — czy mógł w tłumie ludzi poznać syna — albo syn jego? — Może teraz Helu błądzi gdzie po mieście i wcześniej, czy później przyjdzie, a on, starowina, niepotrzebnie się jeno troska.

Wreszcie Grzela, zrezygnowany, zabrał się do naprawy swych sieci.

Tęskno było Grzeli od czasu, kiedy zmarła mu żona, a dwóch synów, których miał, nie było również w checzy.

Gdzieś z oddali, od miasta, dochodziły dźwięki orkiestry wojskowej, a piękne melodie płynęły po falach, wkradając się w serca rybaków.

Naraz Grzela przypomniał sobie, że cała Polska obchodzi uroczyście „Tydzień Morza" — o czym zupełnie zapomniał, myśląc jeno ustawicznie o powrocie syna.

A kiedy przebrzmiały ostatnie akordy, sercem Grzeli targnęło dziwne rozrzewnienie, a w oczach jego ukazały się łzy. I sam nie wiedział, czy z tęsknoty za synem, czy też z radości — dumy z potęgi polskiego morza.

Wokół zamigotały światła. — Wiatr począł szeptać przedziwną legendę fal. — Staruszek zmarszczył czoło i umilkł. — Jeno myśl jego krążyła wciąż koło starszego syna, na którego zamierzał zdać sprzęt rybacki, by sam ostać na „starkowiźnie."

—o—

Barczysty młodzian, o silnej klatce piersiowej, ubrany w mundur marynarza, prowadził pod rękę piękną „dzewus", która uśmiechała się do niego, od czasu do czasu pokazując podczas wesołej rozmowy swe białe zęby w perlistym uśmiechu czerwonych warg.

Był to młody syn Grzeli, który korzystając z urlopu, szedł wraz z swą „dzewus" odwiedzić starego ojca.

Idący za młodą parą mężczyzna — poznał w młodym marynarzu swego brata, którego ostatni raz widział, gdy miał on zaledwie trzy latka. Później znali się oni jedynie z korespondencji i przesłanych wzajemnie fotografii.

— Antoś! wyrzucił nagle Heliodor Grzela, kiedy marynarz odwrócił do niego głowę. — Czy mnie nie poznajesz?

Chwila ciszy — i naraz bracia padli sobie w ramiona.

Antoś przedstawił bratu swoją piękną „dzewus", po czym cała trójka udała się do checzy ojcowskiej.

Radość, jaka panowała w tym szczupłym gronie małej checzy rybackiej, trudno wprost opisać.

Ojciec radował się z powrotu ukochanego syna, ten zaś, że wreszcie jest w rodzicielskiej checzy, a prócz tego pierś Heliodora rozsadzała radość i duma — na myśl o tym wszystkim, co zobaczył i usłyszał w dniu powrotu.

W miejscu, gdzie dawniej były torfowiska, wyrósł wielki port, a na piaszczystej wiosce rybackiej powstało nowoczesne miasto świecące tysiącem latarń i reklam neonowych, odbijających się w głębinach morza.

Heliodor zdążył zwiedzić port wojenny i port handlowy, stojący się szeregiem okrętów i statków odchodzących i przychodzących, na których odbijały się stroje kapitanów, kupców i wielu innych pasażerów czy też obsługi okrętowej.

Heliodor cieszył się, że zobaczył znowu sędziwą latarnię Rozewską, nazwaną obecnie imieniem Stefana Żeromskiego, i młodszą siostrzyczkę na Helu, które rzucają snopy światła na morze, a w razie wielkiej mgły, olbrzymie ich syreny z otworów żelaznych paszcz rzucają rykiem złowrogim ostrzeżenia okrętom.

Po chwili wyszli wszyscy przed checzę i patrząc rozpromienionymi oczyma na rozszumione fale — czuli w swych sercach rozpierającą się dumę i radość, że oto znowu — jak kiedyś... wita ich morze i łączy serca nieprzerwaną pieśnią powrotnych fal polskiego Bałtyku!

Koniec.

Głos zbieracza do ludzi dobrej woli!

Dzięki pomocy ludzi dobrej woli uzupełniłem znacznie mój księgozbiór myśliwsko-przyrodniczy, który udostępniłem bezinteresownie w moim mieszkaniu, (jak w bibliotece publicznej) każdemu pracującemu naukowo. Do tego zbioru poszukuję i nabywam: książki, pisma, kalendarze myśliwskie, autografy ludzi zasłużonych w łowiectwie, ekslibrisy, etykiety myśliwskie z flaszek (żubrówka etc.), statuty, regulaminy, legitymacje, dyplomy, listy i koperty kółek łowieckich, zaproszenia na polowania, bale myśliwskie itp.

Specjalnie proszę o umożliwienie mi nabycia medali, żetonów i odznak łowieckich noszonych przy kapeluszach lub przy klapach marynarek, a leżących bezużytecznie po szufladach. Proszę też o modele i odznaki z wystaw łowieckich, towarzystw opieki nad zwierzętami i ochrony przyrody, o odznaki myśliwskie prywatnych osób, za strzelania myśliwskie, żetony bractw strzeleckich i za biegi św. Huberta, o tarcze straży łowieckiej i leśnej itd. Jedyna ta moja w Polsce kolekcja żetonów myśliwskich pójdzie w tym roku na wszechświatową wystawę ławiecką do Berlina, gdzie reprezentować będzie dorobek Polski w tej dziedzinie, przedstawiającej motywy łowieckie w sztuce grawerskiej itp.

Proszę też o wiadomości o dawnych zwierzyńcach i kulcie św. Huberta w Polsce oraz o adresy osób, do których mógłbym się zwrócić w powyższych sprawach.

Inne pisma, do których dotrzeć nie zdołałem, proszę w imię słusznej sprawy o łaskawe przedrukowanie tej odezwy.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLIŃSKI
kapitan rezerwy
starszy referendarz P. K. P.
Warszawa 1, ul. Górnośląska 16, m. 38.

— Rachela nie daje mi spokoju — odpowiedział Benari.

— A co ci przyrzekła za to, że mnie przyprowadzisz?

— A co mi dasz za to, że ci powiem — zapytał cygan.

— Nic ci nie dam, bo nic nie mam — odpowiedziała Ilona.

— Ale co ty w domu od Racheli dostaniesz...

— A niby cóż jej do tego? — gniewała się piękna Cyganka, — że mnie nie ma w domu. Ją to nic nie obchodzi.

— Właśnie, że obchodzi — odpowiedział młody Cygan — bo nie było komu pilnować Ignacego i uciekł z domu.

— On wróci, gdy mu się jeść zachce — odparła Ilona pogardliwie.

— Wrócił już znowu — rzekł Benari — ale ubranie na nim było zupełnie podarte.

— Jego szkoda — zawołała cyganka — nikt mu przecież nie kupi ubrania.

— Ale w tych łachmanach nie można go wziąć ze sobą — rzekł Cygan.

— Dokąd ze sobą wziąć? — spytała Ilona przelękniony głosem.

— Czy nie wiesz, że wybieramy się wszyscy stąd? — odparł chłopak. — Silny Marek kazał nam wybrać się do południowej Francji, gdzie teraz on sam przebywa.

— Ja nic o tym nie wiem — zawołała Cyganka.

— Naturalnie, jak cię nigdy w domu nie ma, to nie możesz wiedzieć, co się u nas dzieje — odparł Cygan spokojnie.

— Po co mam wlec się z nimi? — pytała Ilona niechętnie.

— Rachela myśli, że dziadek twój przygotował ci tam narzeczonego — odparł Benari.

Ilonie zdawało się, jak gdyby się ziemia pod nią zapadała.

Opuścić miejsce, do którego tysiącem węzłów była przykuta i zamiast doprowadzić plan swój do skutku i zostać w końcu hrabiną Wildenstein, wyjść za Cygana, którego jej dziadek przeznaczył?

— Nigdy, przenigdy! — pomyślała Ilona i wściekłość porywała ją na samą myśl o tym, wolę zerwać z nim wszystkimi i ściągnąć na siebie raczej ich klątwę, niż poddać się woli dziadka.

Zaczęła z cygańską zręcznością przemyśliwać nad tym, jakby pokrzyżować plany swych współwyznawców i postanowiła narazie, nie dać po sobie poznać, że z nimi nie pojedzie.

Rzekła więc do Benariego:

— Francja ma być bardzo ładna. Tara często mówiła o tym, jaka tam urodzajna ziemia i jacy mieszkańcy tamtejsi są bogaci, a ona dużo świata już widziała. Będzie nam tam o wiele lepiej niż tutaj.

— Spodziewam się — uśmiechnął się Benari, a dziadek przygotował ci tam już pewno jakiegoś królewicza za męża.

Cyganie bowiem mają nawet dziś jeszcze swoich królów, którym płacą haracz i których rozkazom chętnie się poddają.

— Będzie pewno królem — odpowiedziała cyganka — bo mówiłam dziadkowi już nieraz, że zostanę tylko żoną króla. Wtedy będę miała dość mocy, aby odwdzięczyć się swym nieprzyjaciołom, a zemścić się na wrogach.

— Ja ci nigdy nic złego nie uczyniłem, dobra Ilono — uniewinniał się Benari skruszony. — Jeżeli dziś trochę szorstki byłem dla ciebie, to dlatego, żeś nie chciała iść ze mną. Daj mi twój worek, zaniosę ci go.

Wziąwszy worek na plecy, zaczął ją znowu przepraszać.

— Nie gniewaj się na mnie, żem poszedł za tobą. Nie powiem Markowi nic o tym, żeś tak rzadko przebywała w domu.

— Nie bój się — uspakajała go Ilona — ja ci wszystko przebaczam.

Była tak złą na niego, że byłaby go mogła z zimną krwią zamordować, umiała to jednak tak zręcznie ukryć, że Benari uwierzył jej słodkim słówkom.

Szli dalej, pozornie w najlepszej zgodzie.

Ilona gawędziła nieustannie i wyciągnęła z Benariego wszystko, co on tylko o zamierzanej ich podróży wiedział.

Dowiedziała się od niego, że Marek wysłał do nich cygana Wolfa, aby ich jak najprędzej do Francji przetransportował.

— Dlaczego tak śpiesznie? — zapytała młoda Cyganka.

— Nie wiem — odpowiedział Benari — ale silny Marek przekazywał mi, abym ja został z Ignacym, na wypadek, gdyby on jeszcze nie mógł jechać.

— A kiedy stąd mamy wyruszyć? — badała Cyganka.

— Tego jeszcze nie wiem — odpowiedział młody cygan.

Następnie zapytał ciekawie:

— Co masz w tym worku?

— Zdechłe psy — odparła Ilona.

— Dziwny to gatunek psów, co pachną kawą i słoniną — mruknął Cygan.

— Jeżeli wiesz, co tam jest, dlaczego się pytasz? — odcięła się Ilona.

— Rachela się ucieszy, żeś tak pomyślała o domu — mówił chłopak.

— Ani mi przez myśl nie przeszło — rzekła Ilona — niosę ten prowiant dla Alojzego.

Teraz Benari się oburzył.

— Czyś zapomniała kim jesteś i od kogo pochodzisz? — zawołał gniewnie. — Ty, córka i wnuczka króla, możesz się tak dalece poniżyć, aby się dać posyłać, jak służąca, jakiemuś tam łotrowi? Gdyby wiedział o tym stary Marek, no, to odpokutowałbyś to ciężko.

— To mu powiedz, jak chcesz — rzekła Ilona pogardliwie.

— Pewnie, że powiem — krzyknął Benari, pieniąc się ze złości — wszystko mu powiem. Jesteś kochanką kasztelana i nie jesteś godną zostać żoną uczciwego człowieka. Masz tu swój worek, nieś go sama. Ja mogę ci bardzo wiele zaszkodzić, a ty mi się na nic nie przydasz, bo stary Marek wypędzi cię, gdy się dowie o twojej winie.

To rzekłszy, rzucił worek z ogromnym gniewem na ziemię, a Ilona podniosła go obojętnie i wzięła na swoje plecy.

— Głupcze — syknęła, obrzucając go jadowitym spojrzeniem — sądzisz z pozorów tylko i odcierpisz gorzko obelgę, jakąś mi wyrządził. Tylko sobie tym zaszkodziłeś, bo chciałam cię wtajemniczyć w swoje plany. Teraz naturalnie tego nie zrobię.

— Więc nie jesteś kochanką kasztelana? — zapytał Benari niedowierzająco.

— Tylko taki głupiec jak ty, może mnie o coś podobnego posądzić — zawołała Ilona. Jest on moim przyjacielem, to prawda, i jemu zawdzięczam to, że wiem o tak ważnej tajemnicy.

— Co to za tajemnica być może? — niepokoił się Benari.

— To powiem tylko swemu dziadkowi — odparła Ilona.

On tylko będzie brał udział w moim wielkim, bajecznym szczęściu! Nikt zresztą na zaufanie moje nie zasługuje!

Ilona zaimponowała mu i onieśmie-

Twarz Benariego przedłużyła się.

liła swoją pewnością siebie. Żałował mocno, że był wobec niej tak brutalny.

Po krótkim milczeniu zaczął nieśmiało.

— Słyszałem o wielkich skarbach, które mają tu być zakopane jeszcze z pogańskich czasów.

— Wiem o tym — powiedziała Ilona — i tylko dziecko szczęścia może skarby te odnaleźć.

— Jeśli się nie mylę, to ty jesteś takim dzieckiem szczęścia, Ilono? spytał Benari, w którym obudziła się gorąca chęć posiadania tych skarbów.

— Pewno, że jestem dzieckiem szczęścia! — potwierdziła Ilona chłodno.

— I odkryłaś już może ukryty skarb? — zawołał Cygan a oczy błysnęły mu porządliwie.

— A gdyby tak było — odpowiedziała Ilona lodowato — to cóżby tobie z tego przyszło?

— Posłuchaj mnie, Ilono — zawołał Benari wzburzony — po co ci dzielić szczęście z tym katolikiem? Wiem, że skarb ten strzeżony jest przez olbrzyma, i że potrzeba ci silnego ramienia, aby go poskromnić. Przyjm moją pomoc. Zabiję olbrzyma strzegącego skarb, gdy mi obiecasz, że się nim ze mną podzielisz.

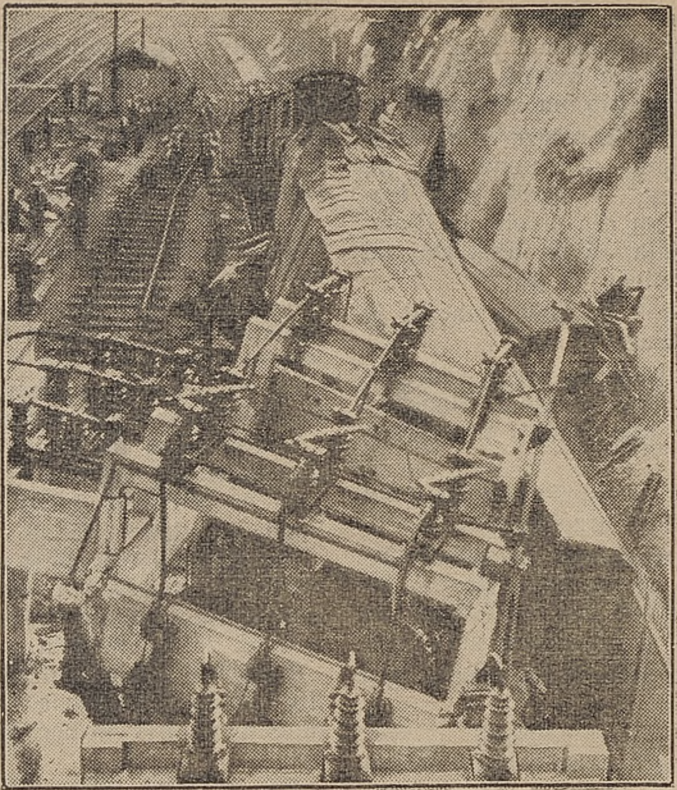
— Nie chcę z tobą nic mieć do czynienia, — odparła Ilona — jedziemy teraz do Francji, więc zapytam się Marka, kto z naszego szczepu najsilniejszy. Tego wybiorę na pomocnika do zdobycia skarbu.

Benari błagał ją na klęczkach, aby przyjęła jego pomoc ,ale ona pozostała niewzruszona.

— Jakżeż możesz opuścić teraz to miejsce? — perswadował jej — czy nie obawiasz się, że podczas twojej nieobecności ktoś skarb wykradnie i pozbawi cię majątku i szczęścia?

— Nie boję się o to — zaśmiała się Ilona tajemniczo — bo użyłam czarów tak silnych, że żaden niepowołany skarbu tego nie zdobędzie. Nie trudź się zresztą o przebłaganie, bo obraziłeś mnie tak ciężko, że ci tego nigdy nie przebaczę!

— Nigdy, Ilono? — zawodził Benari — nawet ojców można odpokutować,



W hrabstwie Kent w Anglii wydarzyła się niedawno katastrofa kolejowa, w której postradało życie kilka osób.

kilka szorstkich słów nie możnaby naprawić?

— Okaż swą skruchę czynem, a nie słowami, to się może namyślę — rzekła chytra cyganka.

Młody chłopak, w którym obudziła się chciwość, okazywał Ilonie odtąd psią uległość w nadziei, że mu przebaczy i weźmie do spółki.

Niebawem spotkali cygana Wolfa, który przybył w poselstwie od Marka.

— Niech będzie pochwalony Wisznu! — zawołał Cygan i, skłoniwszy się nisko przed Iloną, rzekł:

Światło oczu moich! Świecisz jak słońce i jesteś piękniejsza niż księżyc! Widok twój pokrzepia me serce! Gdy będziesz królową, pamiętaj o swym uniżonym słudze!

— Więc dziadek mój wybrał dla mnie narzeczonego? — zapytała Ilona, odpowiadając niedbale na ukłon Cygana.

— Tak uczynił! Wisznu oświecił jego duszę! — odrzekł Wolf — bo wybrał ci na narzeczonego bardzo wielkiego i potężnego króla. Masz odnowić ród jego, bo ciemny Astaroth zabrał mu synów i wnuków do krainy, skąd nie ma powrotu.

— Mam wyjść za starca? — zawołała Ilona rozgoryczona.

— Co to szkodzi, kwiatku lotosowy, że włosy twego przyszłego przyprószone są siwizną? — spytał Wolf schlebiając Cygance — za to jest on najpotężniejszy w całym kraju. Włoży ci na głowę diadem z drogich kamieni, obsypie cię brylantami, otoczy służbą czekającą na twe rozkazy. Jednem słowem, będziesz królową!

— Ale czy będę szczęśliwą? — spytała Ilona żałośnym głosem.

— Będziesz szczęśliwą, o pani! — zawołał Wolf z zapałem. — Jedziemy jeszcze dziś z tego niemiłego kraju. Poprowadzę cię pod jaśniejsze niebo, gdzie cyprys i wino dojrzewa, róże damasceńskie kwitną. Tam będziesz panowała nad niezmierzenie dużym krajem i posiędziesz bajeczne skarby.

— Źle mnie tam przyjmą! — obawiała się Ilona.

— Nie wierz w to najpiękniejsza z pięknych! — pocieszał ją Wolf. — Sędziwy Fortenbros, przyszły twój małżonek postanowił, abyś w dzień wesela rozrzucała pieniądze między lud, a pieniądze otwierają nie tylko drzwi — lecz i serce.

— Tylko nie wrota niebieskie! — rzekła Ilona dość ostro.

Postanowiła wybrać się z Cyganami w drogę, ale uciec im niespostrzeżenie w nocy i wrócić do Felseg. Gdy pomyślała o mękach nieszczęśliwego więźnia w czasie jej nieobecności, ścisnęło się jej, tak twarde zresztą, serce.

Milcząc, szła obok swych towarzyszy.

ROZDZIAŁ CLIV.

Willa żebraka

Gdy Leon Waldau opuścił cyrk Feriera, wyszedł w jasną noc gwiaździstą na samotny dziedziniec.

Chodził przez całą noc prawie bez celu, myśląc tylko o tym, aby się oddalić od [illegible]u.

Podczas ten nocnej wędrówki, myśli jego były nieustannie przy Hortensji, a serce było pełne miłości i skruchy.

Był jednak taki bezsilny! Nie mógł jej prosić o przebaczenie, ani też być jej opieką i podporą. Czuł się bowiem sam nędznym i opuszczonym; błąkał się bezdomny, szukając daremnie za pracą. Nie mógł dać jej nic prócz nędzy, biedy i wstydu! Postanowił więc unikać jej pobliża.

Gdy dnieć zaczęło, zaszedł Leon do jakiejś skromnej gospody. Po krótkim spoczynku i posiłku powędrował dalej i w nędznym miasteczku odległym się za zajęciem, t.j. odszukał jakiegoś odwokata i chciał mu się wynająć za pisarza. Gdy jednak pokazał swoją legitymację: Student z Wiednia, sekretarz baronowej Wimpfen, adwokat domyślił się, że to jakieś wykolejone indywiduum i odrzekł mu chłodno, że go przyjąć nie może.

Po tych nieudanych usiłowaniach, próbował jeszcze w kilku miejscach szczęścia, ale wszystko naprożno. Każdy wolał miejscowe siły, niż jakiegoś tam przybłędę, bez należytych świadectw.

Tymczasem czas uchodził, a mała jego sumka zużywała się szybko. Ubranie i buty niszczyły się tak, że wreszcie zaniedbana powierzchowność stała się przeszkodą do otrzymania jakiejś lepszej posady.

Leon nie tracił jednak nadziei i zaczął się starać o robotę po dworkach chłopskich. Lecz włościanie wskazywali z uśmiechem na białe jego ręce i na ubiór, który im się zawsze jeszcze wydawał eleganckim i myśleli, że on żartuje. Było to zresztą w grudniu, gdzie roboty polnej nie było wcale, a w domu mniejsza niż zwykle. Mimo to, udało mu się znaleźć kilka razy zajęcie, jak rąbanie drzewa i inne tym podobne prace, którymi na chleb zarabiał.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA

ułoż. Witold Mataczyński — Łysinin

Ruchem konika szachowego odczytać treść konikówki.

	los	i	twa	me	
	les	nie	mój	słu	
To	fy	głu	mieć	po	sen
	dać	Kró	cha	chych	
	czów	[illegible]	sia	ne	

WPROST I WSPAK

A, A, A, B, B, K, K, Ł, Ł, M, M, O, O, Y, Y.

Z powyższych liter proszę ułożyć niezbyt sensowne czterowyrazowe zdanie, czytane wprost i wspak jednakowo.

Znaczenie wyrazów:
1. koń, klacz
2. Posiada
3. Nieduży
4. Część, strona.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 23 lipca br.

Rozwiązanie zadań z nr. 27 „Moich Powieści": Rozsypanka sylabowa: Krzyżowcy. Zofia Kossak - Szczucka. Kwadrat magiczny: 1) Rodzina. 2) Dziecko. 3) Unikaty.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: M. Pietrzakówna — Leszno, Kazimierz Łaganowski — Dzierżążno, Lidia Słupska — Nielbark, Kazimiera Ziółkowska — Kamień Pomorski, Michał Lipski — Brodnica, Jan Jabłoński — Toruń, Zbigniew Kujawski — Poznań.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Lipskiemu z Brodnicy i Kujawskiemu z Poznania.

ADAM CZEKALSKI

18)

Sen o zemście

— Tak, to on, nikt inny, tylko on — rzuca już głośno ten pewnik hrabina Manuzzi i myśl jej zaczyna pracować gorączkowo, a w wyobraźni rodzi się wizja szafotu i skazańca ćwiartowanego na części, a skazańcem tym jest nie kto inny, jak tylko ów wróg śmiertelny, noszący znienawidzone nazwisko — Józef Ciechanowiecki...

Pod wpływem tej myśli zapomniała hrabina o wszelkich bólach i dolegliwościach, a tuląc ukochanego synka do zbolałego łona, szeptała mu do maleńkiego uszka słowa drapieżnej zemsty, jaką wywrze na najmłodszej latorośli znienawidzonego rodu.

— On musi zginąć, kochanie ty moje jedyne na świecie — szeptała — muszę zalać ten ogień zemsty, który we mnie gorze, jego krwią, muszę...

Pewnego dnia, pod wpływem myśli o zemście na Ciechanowieckim, kazała pakować kufry i łuby, zamierzając wyjechać do stolicy, by tam rozpocząć realizację snów o zemście. Sama tak była i myślami i krzątaniem się zajęta, iż zupełnie zapomniała o mężu, nie wiedząc nic złego, czy jest on w ogóle w Opsie lub nie.

Hrabia Manuzzi istotnie, już na drugi dzień po „sprawieniu łaźni" małżonce, wyjechał był gdzieś na zabawę i hulankę i wrócił dopiero na dzień przed wyjazdem żony. Pędził zaś ku Opsie tym prędzej, że właśnie doszły go wiadomości, przez zaufanego sługę aż do Wilna, gdzie bawił, przyniesione, iż madame Hedwige pakuje się do odjazdu i majętności swoje, po rodzicu odziedziczone, w arendę zamierza wypuścić, aby małżonka pozbawić z nich intrat.

Zaledwie też przybył do pałacyku nad drzemiącym jeziorem, poszedł natychmiast na pokoje żony, aby się z nią rozmówić. Zastał ją czuwającą nad pakowaniem strojów, które w ogromnym kufrze układały dwie pokojowe. Synek leżał w ozdobnej kolebce, gwarząc sam z sobą i zabawiając się własnymi nóżkami.

— Bon jour młody królewiczu — powitał dziecko hrabia. — Cóż to, wybieramy się, jak widzę, do papy?

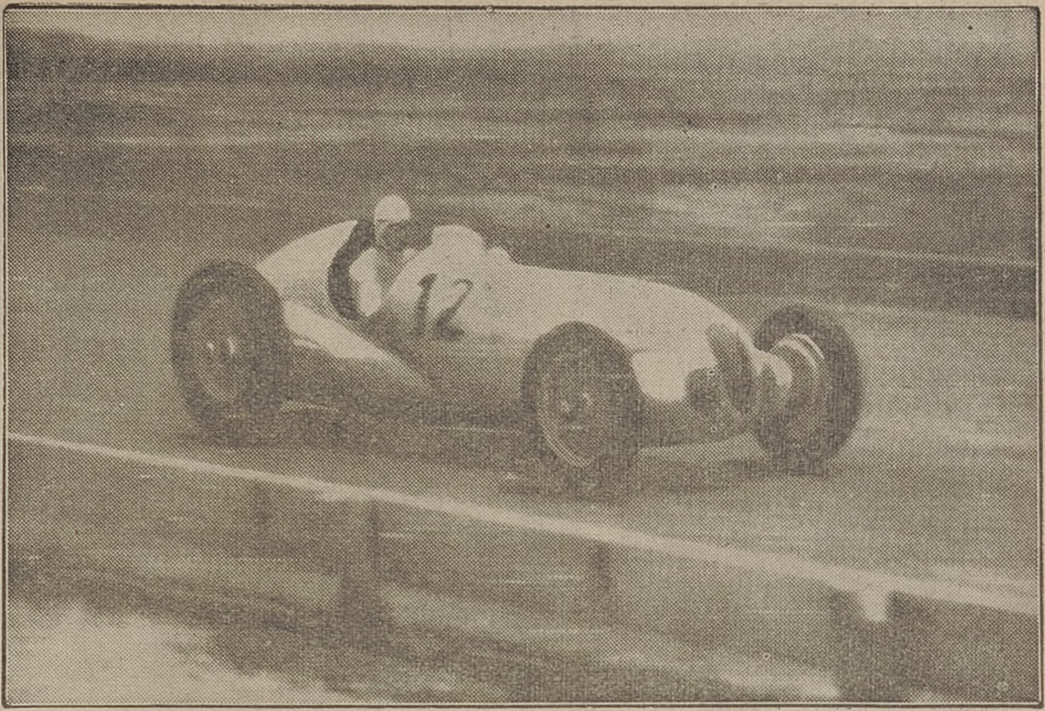
Madame Hedwige, która nie zauważyła wejścia hrabiego małżonka, drgnęła niespokojnie i odwróciła się.

— Bon jour, madame... Dokądże to niespokojni bogowie wypędzają waszą doskonałość? — spytał hrabia drwiąco.

— A czyż ja waćpana pytam o to, dokąd ty wyjeżdżasz? — odrzekła wzgardliwie.

Hrabia roześmiał się i usiadł na otworzonym kufrze, pokojowe zaś na znak pani, zabrały dziecko i oddaliły się.

— Widzę, moja droga — zauważył hrabia — iż moje mądre cytaty z Ojców Kościoła, niczego cię dotąd nie nauczyły. Z tego wnoszę, że snać od młodości



Oto Caraciola, sławny mistrz w samochodowej jeździe wyścigowej, podczas treningu na torze „Roosevelta w Ameryce

musiałaś być dosyć tępą do przyswajania sobie nauk wzniosłych. Ale to nic — rozpoczniemy naukę nawet i w tym wieku, w myśl angielskiej zasady: bater late then never...

Pani Jadwiga obrzuciła męża wzgardliwym spojrzeniem, pełnym nienawiści.

— Zatem — chcesz odjechać? — podjął znowu hrabia.

— To moja rzecz.

— O, za pozwoleniem, także i moja, albowiem już św. Tymoteusz powiedział, by „kobiety milczały i były uległe mężom, jak to nakazuje prawo". A stare prawo indijskie Manu, które poznałem czasu mej bytności w Indiach, głosi, iż „przyczyną hańby jest niewiasta, przyczyną nienawiści jest niewiasta, przyczyną istnienia doczesnego jest niewiastą..." Skoro zatem ja istnieję dlatego, iż istnieje niewiasta, w dodatku ty, jako niewiasta — zostałaś mnie poślubioną, a prawo nakazuje ci posłuszeństwo mężowi, jako głowie domu — ma chyba owa głowa prawo zapytać, co zamierza uczynić „chwast bujny" — vulgo żona?

— Do czego zmierzasz?

— Wciąż do jednego punktu, z którego wyszedłem: dokąd i po co zamierzasz wyjechać?

— Jadę do stolicy.

— Po co? Król jegomość na oczy nie chce cię widzieć.

— To moja sprawa.

— Także i moja. Bo skoro z woli króla Imci pojąłem cię już za żonę, chociaż św. Hieronim powiada, że „małżeństwo jest występkiem", Orygines nazywa je „czymś profanującem i nieczystym", a Tertulian rodzi „wybierać bezżeństwo, chociażby ludzkość miała wyginąć", ale skoro już popełniłem to głupstwo, dając ci moje nazwisko — mam prawo dbać o czystość mojej tarczy herbowej.

— Waćpan sam dawno ją pokalałeś.

— Gdyby tak nawet było, to ja jestem tej tarczy właścicielem, podczas gdy pani jesteś tylko jej czasową dzierżawczynią. Użyczyłem ci owej tarczy dla osłonięcia przed plotkami, ale to nie oznacza, bym miał zamiar nadal osłaniać nią twe szaleństwa. Dlatego to oznajmiam ci uroczyście, iż na żadne wyjazdy nie zezwalam.

Hrabina zagryzła usta.

— A jeśli mam nader ważne powody? — odezwała się stłumionym głosem.

— Choćby one były najważniejsze — nie zezwalam.

— Jestem panią mojej woli.

— Jesteś nią, ale... tylko w Opsie, w obrębie pałacu.

— Potrafię być nią i gdzie indziej.

— To należy do dawno umarłej przeszłości. Nie zapominaj, madame, że jam nie nieboszczyk pan starosta i cackał się z tobą nie będę, ani na fanaberie i fumy nie zezwolę.

Wspomnienie zmarłego Jana wywołało w duszy pani Jadwigi pewną rzewność, ale ta ustąpiła zaraz miejsca mściwości i zawziętości, a myśl o Józefie Ciechanowieckim, wolnym i bezkarnym, myśl, że człowiek ten jest ostatnim ze znienawidzonego rodu, że to on jest przyczyną jej małżeństwa z Manuzzim, niełaski króla i jej obecnego położenia — kazała jej postawić wszystko na jedną kartę, aby swoje sny o zemście urzeczywistnić. Dlatego to, zmieniając ton, spytała już nieco łagodniej:

— Czego żądasz za ostawienie mi całkowitej swobody?

Hrabia uśmiechnął się błogo, rozmowa bowiem zaczynała wkraczać na właściwe tory. Przymrużył filuternie oczy i popatrzył na żonę.

— Czego żądam?... Czy nie zamierzasz przypadkiem swoją uległością wyprowadzić mnie w pole?

— Chcę być z tobą szczerą.



Amerykańscy studenci w towarzystwie swoich niemieckich kolegów zwiedzają osobliwości Berlina.

— Szczerą? Doprawdy szczerą? Bo to, widzisz, madame, prawo Manu, o którym ci wspomniałem, powiada między innymi także, że „niewiasty z natury swej skłonne są do prowadzenia mężczyzn na pokuszenie". Któż tam zatem może odgadnąć prawdziwe twoje zamiary.

— Powtarzam — chcę być z tobą szczerą, postąpić uczciwie, traktować rzecz poważnie...

— Doskonale, madame, rozmawiajmy poważnie... Ale to ci powiem, że ja nie bardzo ci ufam, a z tego, coś wyprawiała z pierwszym swoim małżonkiem, ś. p. starostą opeskim, taki wyciągam wniosek: Zasługujesz na najsurowsze ukaranie, ale na ziemi nie ma takiej kary, której dość byłoby dla ciebie. Ścięcie mieczem? Ćwiartowanie? Łamanie kołem? Są to dla ciebie dziecinne igraszki. Chybaby spalić cię w ogniu, ale cóż? I tu trudność nielada. W piec rozpalony wrzucić cię niepodobna, boś go własnym ogniem rozwaliła, więc nie pozostaje nic innego, jeno żywcem w harmatę wbić i wystrzelić na wiatr... Ale co tam... Chcesz iść na ugodę — dobrze.

— Chcę iść na ugodę, aby uwolnić się od takiego szatana, jakim ty jesteś.

— Jeśli ja jestem szatanem, tyś bezwątpienia Lucyferem niewieściego kompulu piekieł. Doskonale dobrana z nas para. Miał król jegomość rację, że nas z sobą połączył. Jesteśmy oboje jako dwie dopasowane deski, które czasem tylko źle przystają do siebie.

— Mów, czego żądasz za moją wolność? — przerwała mu madame Hedwige.

Manuzzi zdawał się czas jakiś namyślać, po czym odezwał się swoim zwykłym, drwiącym tonem:

— Ho, ho, nie łatwa to rzecz ocenić tak szybko wartość takiej osoby, jak wasza dostojność. Ale tak sobie myślę, iż za cenę przepisania na mnie wszystkich twoich dóbr — mógłbym się zgodzić na wypuszczenie nadobnej księżniczki z jasyru, ale... pod pewnym warunkiem.

— Waćpan na głowę chyba upadłeś? — zawołała zgorszona małżonka.

— Jak dotąd — nie, i dlatego zrobiłem źle, bo pewien wielce uczony mąż w Bolonii radził mi w swoim czasie, abym przed małżeństwem wylazł na szczyt katedry św. Piotra w Rzymie i runął łbem na dół. I jeśli żyw zostanę — wtedy się dopiero żenił.

— Zaprzestań waćpań tych drwin.

— Słucham waszej dostojności.

— Mów, czego żądasz za moją swobodę?

— Rzekłem już.

— To szaleństwo.

— Wcale nie większe od znacznej ilości twoich dawnych szaleństw, ale uprzedzam — od żądań tych nie odstąpię. Na majętnościach zabezpieczę ci właściwą intratę do śmierci, biedy więc nie zaznasz. A po mojej, daj Boże najpóźniejszej śmierci, dobra i tak przecież przejdą na twojego syna.

Madame Hedwige milczała. Szarpała nerwowo koronki u sukni, rozważając. Manuzzi powstał.

— No — cóż? — zapytał. — Wolność, czy niewola?

— Wolność! — odrzekła hrabina.

— To i dobrze. Ale teraz warunek: nie godzę się, abyś zamieszkała w Warszawie. Wszędzie mieszkać możesz — jeno nie w stolicy. A powtóre — do rozwodu iść nie możesz. Wszystko musi być wypisane w ugodzie.

— Zgoda — niemal ze łkaniem wyrzekła Jadwiga.

XXVII.
ZAKOŃCZENIE

Madame Hedwige przyjęła warunki męża, bo pragnienie zemsty na Józefie Ciechanowieckim było w niej tak ogromne, iż gotowa była na największe ofiary, na największe poświęcenia, byle jeno sny swoje o zemście ziścić, znienawidzonego Ciechanowieckiego na marach śmiertelnych zobaczyć.

Zabrawszy manatki i syna, opuściła pani Jadwiga Opsę i osiedliła się w Grodnie, wszczynając dziesiątki procesów przeciwko Ciechanowieckiemu. Ale tym razem nie wygrała żadnego. Józef pozostał faworytem Stanisława Augusta i wiernym jego przyjacielem, generałem artylerii litewskiej i kawalerem obu orderów.

Piękna madame Hedwige nie doczekała się wprawdzie harmaty, obiecywanej jej przez męża, natomiast po pięciu latach „rozkoszy małżeńskich", doczekała się śmierci w Grodnie, sama jedna, opuszczona przez męża i przez syna, do końca procesując się z Józefem Ciechanowieckim, do którego specjalną czuła nienawiść.

Hrabia Manuzzi, ukończywszy przeszło trzydzieści procesów, znienawidzony przez sąsiadów, zmarł w Albinowie w 1809 roku, a domniemany syn jego, podobny jak dwie krople wody do Stanisława Augusta, ożenił się z hrabianką Konstancją Plater-Zyberk i zmarł w 1823 roku, bezdzietnie, majątek cały pozostawiając Platerom.

Jezioro opeskie stoi do dziś drzemiące i senne i tylko w czasie wichrów i burz — szumi dumy ciekawe o dawnych wiekach i dawnych dziejach, o czasach, gdy nad jego cichymi wodami huczała burza i lała się krew, którą wsiąkła w ziemię, by oczyszczona przez filtry piasków — spłynąć do jeziora.

Gdy kiedyś znajdziecie się nad tym jeziorem — pomyślcie o tych czasach odległych i zmówcie pacierz za duszę Jana Ciechanowieckiego, który do zgonu wiernym pozostał jednej i jedynej wybranej miłości.

KONIEC.



Książe Olaf norweski obchodzi trzydziestopięciolecie swoich urodzin.

ADAM NASIELSKI

12)

Tajemnica zamkniętego gabinetu

— Może wyraziłem się źle, przepraszam..

Adwokat podniósł głowę. Jego inteligentne czoło i mądre oczy znamionowały charakter. Nie taki sobie adwokacina z dyplomem w ramkach i z togą na fotografii. W jego twarzy czaił się rozum i spryt i najważniejsza cecha dobrego prawnika — szybkość myślenia. Spojrzał przenikliwie prosto w oczy inspektora i starał się wyczytać to, co było dlań najważniejsze.

— Jak pan to rozumie, inspektorze.. Śmierć Erazma Stokowskiego. Od aresztowania pod zarzutem przestępstwa do wyroku śmierci jest jeszcze daleko.. Powtarzam panu, Erazm Stokowski nie zamordował...

„Sprytny człowiek" — pomyślał inspektor Żbik. — Udaje naiwnego. Nabieramy się nawzajem.. Tym lepiej. Z mądrym zawsze dojdę do porozumienia.

Mucha uciekła gdzieś w kąt, przestała brzęczeć. Detektyw odetchnął nieznacznie i wolno zapalił papierosa. Wydmuchnął dym w górę.

— Pan ma rację mecenasie. Erazm Stokowski nie zamordował.

— Więc co miało oznaczać?...

— Erazm Stokowski został zamordowany. przez Ozyrysa.. I pan wie o Ozyrysie. Czy teraz wciąż będzie pan milczał?

Krótkie spojrzenie podziwu, jakie padło przez okamgnieniu na detektywa nie zdawało się go absorbować..

— Pan jest mądry, inspektorze. Więcej niż mi opowiadano.

— A pan zna tajemnicę, mecenasie. Teraz — słucham.

— Nie wiem dużo. Znam figurkę, którą mi pan pokazał. Należała do Erazma Stokowskiego. Przywiózł ją z Egiptu.

Znów błysk myśli. I odrazu mgła zwątpienia. Przecież to niemożliwe, aby Ozyrysem... był sam Erazm Stokowski. A jednak...Więc jakby to wyglądało: Najpierw zamordowanie Makarskiego, zamknięcie drzwi, włożenie klucza do kieszeni sekretarza — a potem, samobójstwo!! I przed śmiercią telefon do Downara! Przerażające — ale technicznie, technicznie... Nożem w własną pierś od tyłu... Zemsta z za grobu...

Wszystkie te przypuszczenia przebiegły w tempie pośpiesznej błyskawicy przez świadomość detektywa. Znów czuł chaos w mózgu wir-war myśli. Najpierw hypoteza zamordowania przez ducha, potem przez człowieka, wreszcie teoria samobójstwa.

— Czy ta figurka na pewno należała do Stokowskiego, czy też widział ją pan tylko raz w jego ręku.

— Erazm Stokowski przywiózł ją sobie z Egiptu. To zeznanie mogę zaprzysiąć, gdyż dyrektor Stokowski wyraźnie mi o tym mówił.

Mecenas Drabicki nie był głupi. Żbik nabrał tego przekonania, obserwując wciąż swego rozmówcę. Adwokat napewno nie rozumiał — i nie mógł rozumieć — dokładnego celu pytań.. Mimo to zachował „dyskrecję", nie wtrącał się, odpowiadał rzeczowo i spokojnie. Był to człowiek opanowany. — Śmierć klienta musiała na nim przecież wywrzeć jakieś wrażenie, a on nie dał tego dotychczas poznać po sobie. Ze swej strony obserwował również ostro detektywa, czego dowodem było pytanie:

— Wygląda pan na mocno zmęczonego, inspektorze.

— Nic dziwnego. Od czwartej po południu prowadzę to śledztwo, nie znoszę terminu dochodzenia. Osiem godzin na nogach i w atmosferze...

— Patalogii — podsunął prawnik domyślnie. — Może wypije pan kieliszek Martini'ego.

— Skoro pan taki uprzejmy.

Znakomity cywilista sam podszedł do szafki i przyniósł butelkę i dwa kieliszki.

— O ile chodzi o Vermouth i Borsalino, nie uznaję sankcyj. Natomiast nienawidzę makaronu — spróbował zażartować.

Wypili. Wino podziałało orzeźwiająco, może choćby dlatego, że było urozmaiceniem, czymś nowem, odrębnem, bodaj na sekundę odciągającem uwagę od permanentnego wysiłku myśli..

— Kim był Erazm Stokowski przed Egiptem?

Adwokat wcale nie wahał się z odpowiedzią.

— Nikim.

— Jak doszedł do majątku i stanowiska?

— O tym wiedział tylko on sam.. To był tajemniczy człowiek. Wzbogacił się na chandlu bronią. który jest kopalnią złota dla ludzi bez skrupułów moralnych. Śliski teren, mętny, mocno niepachnący. Ale w sam raz dla takiego charakteru jak Erazma Stokowski. Bezwzględny, twardy jak granit, nieustępliwy, konsekwentny aż do przerażenia przeciwników, wiedział czego chciał i ponadto miał zaletę człowieka, który robi pieniądze na zimno, bez chałasu i pustej fanfaronady..

— Uśmiech — domyślił się Żbik.

— Tak. Genialnie zrobiony uśmiech. Falsyfikat łudząco podobny do oryginału..

— Ale falsyfikat.

— Pan go znał? — zdziwił się adwokat..

— Rozmawiałem z nim około pół godziny. To niekiedy wystarcza.

Detektyw spojrzał znacząco na zegarek..

— W banku czekają na mnie. Muszę jeszcze po drodze odwiedzić jedno miejsce i jedną osobę. Co pan wie o Ozyrysie, mecenasie?

— Nic ponad to, że Erazm Stokowski był ostatnio w mocnym strachu z powodów, które starannie ukrywał i określał osobę, której się bał jako Ozyrysa. Byłem zdziwiony i myślałem, że żartował — ale on mówił poważnie. Jak się okazuje, śmiertelnie poważnie. Pan oczywiście nie wie jeszcze, kto go zabił.. Inaczej nie byłby przybył do mnie o takiej godzinie.

Inspektorowi Żbikowi nie pozostało nic innego jak odwdzięczyć się mecenacowi spojrzeniem pełnym uznania. Nie lubił tracić słów.

— Jeszcze jedno. Stokowski ma, raczej miał żonę Eugenię...

Ujrzał nagle bystre spojrzenie adwokata i dopiero po chwili miał zrozumieć jego znaczenie.

— Zero — stwierdził Marian Drabicki z dziwną intonacją, lecz dobitnie..

— Wiem, Czem można wytłumaczyć, że człowiek nieprzeciętny jak Erazm Stokowsik, taki geniusz finansowy pojął za żonę takie nic? Przecież on mógł sobie kupić Gretę Garbo, gdyby się uwziął.

Uchwycił znów to przenikliwe spojrzenie prawnika.

To się nie da wytłomaczyć. Inspektorze, jest pan inteligentny i nie trzeba pana uczyć. Dziwi mnie to pytanie. Czy istnieje wytłumaczenie dla małżeństwa w pewnych wypadkach?..

Teraz już Bernard Żbik nie wątpił, że adwokat coś ukrywa..

— Owszem, istnieje. Pieniądze, stanowisko, próżna ambicja na błyskawicznie krótką metę, sybarytyzm, wygoda — lecz tu nie widzę żadnej

z tych przyczyn. Eugenia Stokowska jest dla mnie równie wielką zagadką, jak tajemnica zabójcy jej męża...

Atwokat spojrzał na inspektora najpierw z uwagą, a potem z lekkim, natychmiast stłumionym uśmiechem.

— Pomimo to wymienił pan przyczynę. Wygoda. Czy widział pan Janinę Stokowską, córkę Eugenii Stokowskiej, ale nie córkę Erazma Stokowskiego. I czy pan już z nią rozmawiał?

Inspektor zrozumiał odrazu. Tak, to było brudne, ale jedyne wytłumaczenie. Pojmował już nienawiść pasierbicy do ojczyma. Nie lubił myśleć źle o umarłych, bo w tym jest zawsze coś odrażającego — lecz tym razem nie widział usprawiedliwienia dla wstrzymania się od potępienia — jeżeli adwokat Drabicki miał rację.

— Pan mecenas przypuszcza...

— Ja wiem napewno. To powinno wystarczyć. Niech pan pomyśli, że Jerzy Makarski kochał się w pasierbicy swego szefa — że obaj byli w ten sposób konkurentami. Proszę pomyśleć o zadraśniętej ambicji potentata, który jednocześnie wie, że sam postępuje patologicznie — a otrzyma pan tragiczny węzeł, który w życiu musiał doprowadzić do zbrodni. Są w życiu sytuacje, gdy zbrodnia jest jedynym wyjściem — to mówię panu ja, szanowany prawnik.

Bernard Żbik przydusił papierosa.

— Jerzy Makarski również został zamordowany przez... Ozyrysa — oznajmił bez wyjaśnień i widział, że wywarł wrażenie.

Wybitnie opanowany adwokat poraz pierwszy stracił równowagę ducha. Stanął również wobec zagadki — on, który dotychczas był przekonany, że zna osobę mordercy, a tu okazuje się, że domniemany zabójca również został zamordowany.

Obserwował uważnie grę twarzy sławnego detektywa. Bernard Żbik nie uważał swej nocnej wizyty za bezcelową, albowiem naprowadziła go ona na nowe tory rozważań, oświetliła teren poszukiwań psychologicznych, ukazując promień, który mógł wyjaśnić przyczynę, motyw zbrodni. Mord, dokonany na osobach Erazma Stokowskiego i Jerzego Makarskiego napewno przecież nie był przypadkowy — został wyliczony z diabelską wprost precyzją, musiał więc mieć przyczynę, motyw. Zdemaskowanie motywu zbrodni jest we współczesnej kryminologii niemal ważniejsze od wykrycia osoby sprawcy, który jest niekiedy tylko narzędziem, desygnowanym do czynu przez tragiczny konflikt potężnych promotorów duchowo-patologicznych, jakie pchnęły sprawcę do czynu zabójstwa.

Inspektor Żbik, detektyw ze szkoły psychologów, rozumiał to i zdawał sobie sprawę, że póki nie rozwiąże zagadki motywu — sprawca pozostanie nieuchwytny. Dla tego nie żałował czasu straconego na rozmowę z inteligentnym prawnikiem. Nie była to zresztą strata czasu. Przecież tam...

Przecież tam...

Bernard Żbik wstał tak nagle i gwałtownie, że adwokat aż spojrzał nań z przestrachem.

— Dziękuję, panie mecenasie. Ale nie mam ani chwili czasu więcej do stracenia. Muszę...

— Co się stało?...

— Oby jeszcze nic! Muszę za wszelką cenę niedopucić, aby ofiarą mordercy padła trzecia osoba, Janina Stokowska. Przecież tam...

Nie dokończył już, sam skierował się ku drzwiom, odnalazł poomacku palto i kapelusz, otworzył zatrzaski i zbiegł pędem ze schodów, jakby ścigany przez coś straszliwego i groźnego.

XIV

Na bocznicy otchłani.

Wizyta u mądrego adwokata zajęła ponad godzinę czasu. Zegarek na przegubie detektywa wskazywał pięć po pierwszej w nocy, kiedy Żbik wydał zziębniętemu szoferowi Komendy Głównej rozkaz najszybszej jazdy na ulicę Kapucyńską. Był podniecony. Przeczuwał, że sprawa zbliża się ku niespodziewanemu rozwiązaniu. Jeszcze nie rozumiał wszystkiego — nigdy nie można rozumieć przed efektywnym aresztowaniem sprawcy takiego czynu — ale już zaczynał widzieć to, czego dotychczas nie pojmował — i to wszystko dzięki krótkiej rozmowie z adwokatem.

I dlatego właśnie — że zaczynał rozumieć — Bernard Żbik był słusznie zaniepokojony, ba, był przerażony. Niestety, nie mógł się rozerwać, nic jeszcze nie przedsięwziął przed ostatecznym zamknięciem łańcucha psychologicznego i... postanowił za wszelką cenę rozmówić się tej nocy szczerze i otwarcie z Eugenią Stokowską, choćby miał ją odszukać gdziekolwiek. Wiemy dobrze, że inspektor Żbik był człowiekiem niemniej zawziętym niż tempo jego pracy — błyskawiczne.

Ulice Warszawy były puste. Drobny i dokuczliwy deszcz, mgła i zimno nie zachęcały do spacerów. Z powodu więc panującej pogody zdziwił detektywa niemało fakt, że wspaniały jasnogranatowy Packard bankierowej, ten sam którym zachwycał się Adaś — stał przed bramą. Widocznie pani Stokowska mogła sobie pozwolić na marnowanie takiego wozu.

Cały dom był już ciemny, tylko na pierwszym piętrze nad bramą świeciło się jeszcze w trzech oknach. Teraz właśnie zgasło. Powtórzyła się oczywiście scena ze zdziwieniem dozorcy na widok obcego człowieka do pani dyrektorowej Stokowskiej. Żbik wylegitymował się, nakazał domorosłemu cerberowi trzymać gębę, jak bramę po jedenastej i wszedł po komfortowo urządzonych schodach na pierwsze piętro.

Tu otworzono mu prędzej niż u adwokata i w drzwiach ukazała się autentyczna pokojówka w białym fartuszku i z koronką nad czołem, ubrana tak jakby to była jedenasta przed południem, a nie kwadrans po pierwszej po północy. Nie okazała zdziwienia. Albo więc była dobrze wytresowana, albo późni goście u pani dyrektorowej nie należeli do rzadkości. W takim razie, czemu dozorca zrobił głupią minę — przemknęło przez mózg detektywa, gdy pozwolił czarno-białej panience zdjąć z siebie płaszcz, wręczył jej kapelusz i bilet wizytowy.

— Proszę doręczyć moją kartę pani dyrektorowej.

— Pani już śpi.

— W takim razie trzeba ją zbudzić.

Dopiero teraz skonsternowana pokojówka zdążyła odczytać nadruk na wizytówce i cofnęła się o krok, przestraszona.

— Pani wcale nie śpi, panie inspektorze policji śledczej — wyznała nagle z naiwnością, za którą nie mógł jej zganić, jak nie mógł się śmiać z wyrecytowania przez nią całkowitego tytułu wydrukowanego na bilecie. Zmierzył ją badawczym spojrzeniem. Jednocześnie zauważył melonik, zawieszony obok swego palta, męski parasol i angielski płaszcz deszczowy, lekko zmoczony.

— Kto jest u pani?.

— Nie wiem — zarumieniła się.

— Ale przecież jakiś pan?

— Panowie bywają często u pani dyrektorowej — ośmieliła się panienka.

— A pan... dyrektor — co na to?

— Nic, proszę pana.. Ja nie wiem, czy mnie wolno. Pan właściwie... z policji... tej... śledczej — ale może... Pan... — zacięła się bezapelacyjnie i, nie mówiąc już ani słowa, wskazała mu drzwi do salonu, gdzie poprosiła go cichym szeptem, jakby dostała nagle chrybki — aby poczekał. — Zaraz... tego... — i odwróciła się ku wielkim podwójnym drzwiom.

— Dobrze. Proszę jednak nie zamykać tam i nie gasić światła w przedpokoju. Chcę mieć wejście na oku! — rozkazał stanowczo i zapalił papierosa.

Salon, w którym siedział, urządzony był z niebywałym przepychem.. Bogactwo wyzierało tu z każdego kąta, kłuło z każdej drobnostki. Popielniczka, o którą oparł papierosa była z rżniętego kryształu. Nad kredensem wisiał oryginalny Degat w przepięknej, gustownej ramie, który wprawdzie nie zupełnie dobrze czuł się terytorialnie — niemniej, był wspaniały.

Minęło może dziesięć minut nim szmer za jego plecami kazał mu skoncentrować uwagę na właściwym celu odwiedzin. Nie odwrócił się jednak — w lustrze zawieszonym naprzeciw widział dokładnie postać wchodzącej. Ubrana była w długą, elegancką suknię wieczorową z jasno niebieskiej tafty, bez upiększeń i wyglądała tak, jakby granatowy Packard na dole nie czekał bezpodstawnie. Ten sam wniosek wynikał ze zdziwionej, acz stłumionej miny pani Stokowskiej. Bernard Żbik uznał, że bez względu na zdanie jakie wyrobił sobie o charakterze tej kobiety — wypada wstać, i skłonił się w milczeniu. Poznała go natychmiast.

— Pan!...

Skłonił się jeszcze raz, właściwie niewiadomo dlaczego. Podała mu rękę, jak zauważył, zupełnie automatycznie, w drugiej trzymała wciąż jego bilet wizytowy. Uśmiechnęła się mdło — pomimo swej inteligencji, zdawała sobie niewątpliwie sprawę z faktu, że inspektora policji śledczej tylko ważne przyczyny mogą o tej porze sprowadzić do prywatnego mieszkania. Pomyślał, że napewno by się nie uśmiechnęła, gdyby domyślała się jakiej treści rozmowa ją czeka. Prawdopodobnie przypuszczała, że chodziło tu o jakieś nagłe informacje w związku ze zranieniem jej męża, dziś w banku.

— Czekam, proszę pani.

— Na co — nie zorientowała się w pułapce.

— Na pytanie pani o zdrowie męża.

— Ach, tak! Miałam od niego telefon z „Omegi".

— Dlaczego pani kłamie? — spojrzał na nią zimno i z obiektywnym zaciekawieniem. — Pani nie miała żadnego telefonu od Erazma Stokowskiego.

— Nie małam żadnego telefonu — przyznała, jak echo.

Rozejrzała się bezradnie, jakby była w tym pokoju poraz pierwszy w życiu i usiadła na wysokim krześle tak nagle, że omal nie upadła. Już poraz drugi obejrzał się poza siebie, drzwi, z za których ukazała się, były w pół uchylone — a Bernard Żbik nie lubił, aby podsłuchiwano jego rozmowy. Wstał i podszedł tak szybko, że właściciel melonika i raglanu nie zdążył już cofnąć się i ledwie nie wpadł w ramiona inspektora.

Obaj mężczyźni wymienili nic nie mówiące spojrzenie i młody elegancik o wywatowanych ramionach pierwszy opuścił powieki. Nie należało do rzeczy łatwych wytrzymać wzrok inspektora Bernarda Żbika.

— Ja już chyba pójdę, Gen...

Bubek zbliżył się do przedpokoju i sięgnął po swe palto i kapelusz.

— Jedna minuta, mój panie.

— Proszę — szepnął skonsternowany i Bogu ducha winny gość.

— Jestem zmuszony prosić pana o dowód osobisty lub inną legitymację tożsamości..

— Ależ! Ten pan...

Eugenia Stokowska zerwała się z krzesła, ale cofnęła się odrazu przed twardym spojrzeniem detektywa. Wróciła zrezygnowana na miejsce.

— Czekam. Sądzę, że nie zależy panu specjalnie na spędzeniu reszty nocy w najbliższym komisariacie policji.

— Dobrze! Ale ja panu...

I on urwał. Poznał, że nie ma do czynienia z byle kim. Bernardowi Żbikowi było przykro występować w takiej roli — lecz musiał. Żelazna reguła, wszechstronności śeldztwa nakazuje zanotować wszystkie nazwiska w czasie, w terenie. Młody fircyk ucałował rękę gospodyni, szepnął jakieś usprawiedliwienie, obietnicę, czy groźbę i wyszedł..

— Teraz musimy pomówić poważnie, proszę pani.

Nie znosił łez w oczach kobiety, ale nie miał na nie rady.. Spojrzał odruchowo na zegarek i uznał, że nie wolno mu tracić czasu. Wbrew opanowaniu i silnemu postanowieniu nie był w stanie oprzeć się ogarniającemu go znów uczuciu podniecenia. Tam, na Filtrowej... w banku... A on... tu... Prędzej! Prędzej!

— Jaki był cel kłamstwa o telefonie — przystąpił od razu do rzeczy.

— Sama nie wiem. Co mnie to wszystko obchodzi! Jakiś zamach na mego męża. Mój mąż obiecał mi, że ja... nie będę wtrącana w jego sprawy.

Charakterystyczne, ani razu nie użyła imienia, tylko wciąż: mój mąż.

Jak doszło do pani ślubu z Erazmem Stokowskim?

Widział, jak znikają pod gryzącym kwasem łez subletne wysiłki gabinetu de beauté. Niemal przestraszył się spustoszeniu, jakie na twarzy Eugenii Stokowskiej wyrządziło to pasemko słonawych kropel. Była to stara, zmęczona istota.. Co za cuda może zdziałać nowoczesna kosmetyka i złudzenie optyczne!

— Ja nic... nic... nie wiem.

— Proszę nie płakać. Pani musi odpowiedzieć na moje pytania. Erazm Stokowski został zamordowany.

Gdyby jej nie uchwycił za przegub — byłaby go może uderzyła, lub sobie coś złego uczyniła. W każdym razie wyglądała w tej chwili na osobę gotową do popełnienia czynu nieobliczalnego. Zdawałe się, że oczy wyskoczą jej z orbit, a kolana poczęły nagle tak drżeć, że inspektora ogarnęła wprost głupia bezradność. Już wyciągnął rękę do dzwonka nad okrągłym stołem.

— Niech pan zostawi. Nic mi nie jest.. Patrzyła zupełnie przytomnie.

A więc symulacja i skoncentrowana gra — aktorska.. A więc minimum inteligencji. Nie, to nie jest gra — raczej podświadoma samoobrona przed wstydem i rezygnacja z dalszych prób oporu. Teraz Eugenia Stokowska powie wszystko.. Zatym — nie przegapić momentu.

— Erazm Stokowski już nie żyje, proszę pani.

O ile o tę wiadomość chodzi, widział, że nie zmartwiła ona żony zamordowanego. Dziwna rodzina, — matka, córka. Za tym jednak musi się coś kryć. Może podłoże tragicznego węzła — jak nazwał go adwokat Drabicki.

— Czy pani kochała swego męża?

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 18 lipca 1937 r.

8.00 Audycja poranna; 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie; 11.00 Polska Kapela Ludowa pod dyr. Feliksa Dzierżanowskiego; 12.03 Na szerokiej równinie — poranek symfoniczny; 13.10 Koncert rozrywkowy; 14.40 Audycja dla dzieci; 15.00 Audycja dla wsi; 16.00 Koncert orkiestry mandolinistów; 16.30 Orkiestra Filharmonii Berlińskiej i soliści; 17.15 „Śniadanie" — skecz: 18.00 Podwieczorek przy mikrofonie; 20.00 Erica Norini — skrzypce, Włodzimierz Horowitz — fortep.; 21.00 „Eliksir miłości" — opera, (transmisja z Rzymu).

Poniedziałek, dnia 19 lipca 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 12.25 Chór Eryana śpiewa (płyty); 12.40 Od warsztatu do warsztatu: Piekarza; 16.00 Antoś chce być technikiem: Użytki z nieużytków; 16.15 Trio salonowe P. R.; 16.45 „Cagliostro" — felieton; 17.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej orkiestry P. R.; 17.50 „Banany" — pogadanka: 18.05 Piosenki (płyty); 19.00 Audycja żołnierska; 19.40 Główne przeszkody w rozwoju sportu polskiego — pogad.; 20.00 Lekki koncert w wykonaniu orkiestry marynarki wojen.; 21.00 „Cyganie grają" — koncert; 21.45 „W starym domu" z obrazków krakowskich M. Bałuckiego; 22.00 Recital fortepianowy Ryszarda Byka; 22.35 Fragmenty operowe (płyty).

Wtorek, dnia 20 lipca 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 12.25 Orkiestra wojskowa pod dyr. A. Gaula; 16.00 Rzeczy ciekawe z pięciu części świata; 16.20 Utwory na dwa fortepiany; 16.45 Wycieczka do Aleksandrowa — felieton; 17.00 Wielcy kompozytorzy piszą lekką muzykę; 18.15 Koncert rozrywkowy z udziałem Erny Sack (płyty); 19.00 „Pięć minut w niebie — skecz; 19.15 Recital skrzypcowy Szymona Bakmana; 20.00 Koncert rozrywkowy w wyk. ork. T. Seredyńskiego; 21.45 „Nie zapomniał do śmierci" — z obrazków krakowskich Michała Bałuckiego; 22.00 Koncert wieczorny w wykonaniu orkiestry wileńskiej.

Środa, dnia 21 lipca 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 12.25 Orkiestra dęta Tramwajów i Autobusów Miejskich; 16.00 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki; 16.15 Zalotna pieśń na Śląsku — audycja regionalna; 16.45 Odczyt wojskowy; 17.00 „Co kto lubi" — 9 wiązanka melodii: 17.50 „Buduję własny dom" — roboty budowlane; 18.15 Georges Boulanger w roli kompozytora i wykonawcy; 19.00 „Słynni dyrygenci" — XIV audycja — John Barbirolli; 20.00 Koncert; 21.00 Koncert chopinowski; 21.45 „Pasja do książek" — z obrazków krakowskich Bałuckiego; 22.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 22 lipca 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 12.25 Łódzka orkiestra salonowa pod dyr. T. Rydera; 16.00 „Sznur jarzębin" — opowiadanie dla dzieci; 16.15 Dawno zapomniane melodie — kwartet Schrammla; 17.00 Koncert solistów; 18.15 Wiązanki (płyty); 19.00 Wznowienie słuchowiska „Stary Subiekt" w/g „Lalki"; 20.05 Muzyka lekka i taneczna; 21.45 „Romans wyrobnika" — z obrazkó krakowskich Bałuckiego; 22.00 Jan Brahms (płyty).

Piątek, dnia 23 lipca 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 12.25 Koncert Małej Orkiestry P. R.; 16.15 Recital fortepianowy J. Kaleckiego; 16.45 Z wystawy paryskiej — reportaż; 17.00 Koncert ork. Adama Furmańskiego i Czaplarskiego; 18.05 Pogadanka konkursowa; 18.10 Orkiestra Alberta Sandlera i baryton K. Schmitt-Walter (płyty); 19.00 Symfonia Beethovena — II audycja (płyty); 19.35 Pieśni w wyk. Tadeusza Łuczaja; 20R.00 19.35 Pieśni w wyk. Tadeusza Łuczaja; 20.00 Wieczór u Kalmana — koncert; 21.45 Kwadrans poetycki; 22.00 Koncert.

Sobota, dnia 24 lipca 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 12.25 Koncert Orkiestry Wileńskiej; 16.00 Słuchowisko dla dzieci „Królewicz i żebrak". 16.30 Polska kapela ludowa pod dyr. F. Dzierżanowskiego; 17.30 Audycja konkursowa; 17.50 Tajemnice jezior puszczy rudnickiej — pogadanka; 18.15 Wiązanki operetkowe (płyty); 19.00 „W rytmie raz, dwa, trzy" — koncert orkiestry A. Hermana; 20.00 Audycja dla Polaków za granicą; 21.05 Muzyka lekka i taneczna w wykonaniu Małej Orkiestry Polskiego Radia.

HUMOR

W KNAJPIE

W trzeciorzędnym barze leży na podłodze pijany gość... Nagle wchodzą dwaj inni. Jeden z nich wskazuje leżącego i mówi do kelnera:

— Proszę nam dać butelkę tego samego.

OŚWIADCZYNY

— Chciałbym pana prosić o rękę córki...
— W tej chwili nie można bo właśnie pierze.

JUŻ NIGDY!...

Pani Helena postanowiła zerwać z przyjacielem. Napisała więc następujący list:

...... i już nigdy nie zgodzę się być z tobą sam na sam, nawet gdybyś przyszedł do mnie między 6, a 8, gdy mego męża nie ma w domu i kiedy można śmiało wejść kuchennymi drzwiami, bo służącą wtedy wysyłam na miasto.

W KOSZARACH

Kapral zwraca się do rekruta, kandydata nauk matematycznych:

— Niech no mi rekrut powie, co jest poziome?

— Jeżeli ze środkowego punktu kuli ziemskiej...

— Co rekrut baje? Co ma tu ziemia do tego? Ja się pytam, co jest poziome?

— Każda przestrzeń, która ma płaszczyznę kuli...

— Dosyć mi z tą kulą! Niech rekrut sobie zapamięta: cztery równe nogi od stołu i deska na nich, to już jest poziome...

DOBRA RADA

— Jeżeli masz kogoś nabrać na pieniądze, to raczej pesymistę niż optymistę, gdyż pesymista i tak nigdy nie spodziewa się zwrotu!

WSPANIAŁOMYŚLNOŚĆ

— Przepraszam pana! Już od pół godziny szukam ulicy Grodzickich.

— Ależ głupstwo! Nie ma pan za co przepraszać! — Do widzenia!

ACH, TE STROJNISIE...

Do składu z damską konfekcją wchodzi klijentka.

— Czym mogę pani służyć? — pyta sprzedawczyni.

— Chciałabym kupić suknię...

— Proszę bardzo, mamy wielki wybór... Zaraz pani pokażę...

Przed oczyma klientki przesuwa się szereg najnowszych modeli sukien. Po chwili cała lada jest zawalona sukniami. Na podłodze leżąH suknie. Wszędzie suknie.

— Czy to są wszystkie suknie?... — pyta wreszcie klientka.

— Tak proszę pani... — odpowiada zziajana sprzedawczyni. — Wszystkie oprócz tej, którą noszę...

RADA LEKARSKA

— Proszę przez trzy miesiące jeść sałatę, suszony chleb i popijać jabłecznikiem — powiada lekarz — a zobaczy pani, że wnet pani zeszczupleje!

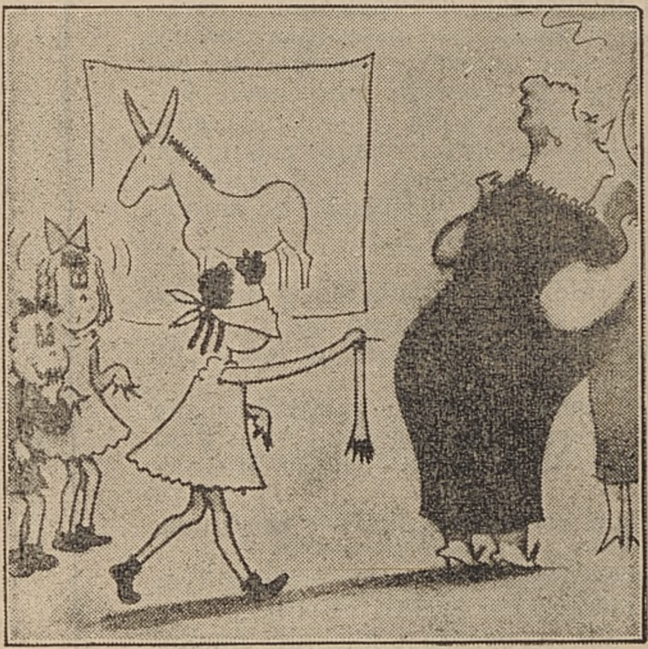
— Przepraszam — powiada tęga dama — czy to wszystko mam brać przed obiadem, czy po obiedzie?

UKARAŁ GO

Pan X przychodzi do p. Y. ze skargą.

— Przychodzę do pana użalić się na pańskiego synalka, który ciągle mnie przedrzeźnia i naśladuje!

— A ty smarkaczu! — woła ojciec do synalka — Tyle razy ci już mówiłem, żebyś z siebie nie robił małpy i błazna!



Miecz Damoklesa!...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450.— złotych, 1/2 strony 225.— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca doliczą się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omylki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie